

Wszystkie  
boże dzieci  
tańczą

Wszystkie  
boże dzieci  
tańczą

Modliłem się o to, żeby dąpał wysoko pilno,  
a Bóg obrał mnie najwspanialszym talentem w świecie.

Haruki  
Miyamoto

HARUKI

**Haruki Murakami**

**Wszystkie boże dzieci tańczą**

przełożyła z japońskiego Anna Zielińska-Elliott

**trident** 2006

**Wydanie oryginalne**

**Tytuł oryginału:**

*Kami-no kodomotachi-wa mina odoru*

**Data wydania:**

2000

**Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2006

**Ilustracja na okładce:**

Bart Biały

**Projekt okładki:**

Agnieszka Spyrka

**Przełożyła:**

Anna Zielińska-Elliott

**Wydawca:**

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. 022 6290477, 022 6296524

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

ISBN 83-7319-827-X

**Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

## **Spis treści**

[UFO ląduje w Kushiro](#)

[Krajobraz z żelazkiem](#)

[Wszystkie boże dzieci tańczą](#)

[Tajlandia](#)

[Pan Żaba ratuje Tokio](#)

[Ciastka z miodem](#)

- Lizo! A cóż było wczoraj?
- Było to, co było.
- To niemożliwe, to okrutne!

Fiodor Dostojewski, *Biesy*  
(przeł. T. Zagórski i Z. Podgórzec)

RADIO: ...garnizon już wcześniej zdziesiątkowany przez oddziały  
Vietkongu, które straciły stu piętnastu swoich ludzi...

KOBIETA: To straszne, prawda? Takie anonimowe.

MEŹCZYŻNA: Co jest straszne?

KOBIETA: Mówią o stu piętnastu partyzantach, ale to nic nie  
znaczy, bo nic o tych ludziach nie wiemy, nie wiemy, kim są, czy  
kochają kobiety, czy mają dzieci, czy bardziej lubią kino niż teatr. Nic  
nie wiemy. Mówią tylko... zginęło stu piętnastu.

Jean-Luc Godard, *Szalony Piotruś*

**UFO ląduje w Kushiro**

UFO-ga Kushiro-ni oriru

Przez pięć dni siedziała bez przerwy przed telewizorem. W milczeniu wpatrywała się w zrujnowane banki i szpitale, płonące pasażerów handlowe, zerwane tory i przecięte na pół autostrady. Zatopiona głęboko w poduszkach kanapy, zacisnęła usta, nie reagowała, kiedy Komura się do niej zwracał. Nawet nie skinęła ani nie potrząsnęła głową. Nie wiedział, czy go w ogóle usłyszała.

Żona pochodziła z położonej na północy prefektury Yamagata i, o ile wiedział, w okolicach Kobe nie miała żadnych krewnych ani znajomych. Mimo to od rana do wieczora tkwiła przed telewizorem. Nie jadła ani nie piła – przynajmniej w jego obecności. Nie chodziła nawet do toalety. Siedziała zupełnie nieruchomo, tylko czasem pilotem zmieniała kanały.

Komura sam robił sobie rano grzanki i parzył kawę przed wyjściem do pracy. Kiedy wracał, żona siedziała przed telewizorem w tej samej pozycji co rano. Co miał robić? Przyrządzał skromną kolację z tego, co znalazł w lodówce, i jadł w samotności. Gdy szedł spać, żona dalej wpatrywała się w ekran – nadawano ostatnie wydanie wiadomości. Otaczał ją mur milczenia. Komura dał za wygraną i w ogóle przestał się do niej odzywać.

W pięć dni później wrócił w niedzielę z pracy o zwykłej porze i odkrył, że żona zniknęła.

Komura był sprzedawcą w znanym sklepie z urządzeniami audio-wideo w Akihabara, tokijskiej dzielnicy elektroniki. Pracował w dziale z najdroższymi towarami i do pensji doliczano mu prowizję od każdej transakcji. Wśród kupujących było wielu lekarzy, zamożnych przedsiębiorców, majątnych ludzi z prowincji. Pracował tam od ośmiu lat i od początku nieźle zarabiał. Gospodarka kwitła, rosły ceny nieruchomości i w całej Japonii ludzie mieli za dużo pieniędzy. Portfele były wypchane banknotami o dużych nominałach i zdawało się, że właściciele koniecznie chcą je jak najszybciej wydać. Najdroższe towary sprzedawały się najlepiej.

Wysoki, szczupły, dobrze ubrany i miły w obejściu Komura w czasach kawalerskich chodził z wieloma dziewczynami. Lecz pięć lat temu, mając dwadzieścia sześć lat, ożenił się, a wtedy pragnienie ciągłego szukania nowych podniet seksualnych ku jego zdumieniu po prostu znikło. Od tego czasu nie spał z żadną inną kobietą. Miwał co prawda okazje, lecz zupełnie przestały go interesować przypadkowe powierzchowne związki. Wolał wcześniej wrócić do domu, spokojnie zjeść z żoną kolację, porozmawiać, siedząc wygodnie na kanapie, a na koniec iść z nią do łóżka. Niczego innego nie pragnął.

Małżeństwo przystojnego i sympatycznego Komury wywołało zdziwienie wśród przyjaciół i kolegów z pracy, ponieważ w przeciwieństwie do niego, jego żona zdawała się zupełnie przeciętna. Była drobna, lecz miała dziwnie grube ręce. Jej usposobienie również trudno nazwać czarującym. Małomówna, zawsze wyglądała na niezadowoloną i zdawała się niezbyt rozgarnięta.

Lecz Komura, żyjąc z nią pod jednym dachem, odprężał się i rozluźniał – sam nie wiedział dlaczego. Nocą zapadał w spokojny sen. Przestały go dręczyć dziwne koszmary, które dawniej wyrwały go ze snu. Miał silne erekcje, pożycie seksualne dobrze im się układało. Już nie przerażały go śmierć, choroby weneryczne i rozmiar wszechświata.

Niestety, żona nie lubiła tłoczego życia w stolicy, chciała wrócić na północ, do rodzinnej Yamagaty. Ciągłe tęskniła za rodzicami i dwiema starszymi siostrami. Gdy tęsknota zaczynała jej doskwierać, jechała ich odwiedzić. Rodzice prowadzili tradycyjny zajazd i dobrze im się powodziło, a ojciec, który bardzo kochał najmłodszą córkę, chętnie płacił za jej podróże. Do tej pory wielokrotnie po powrocie z pracy Komura znajdował na kuchennym stole kartkę od żony, że pojechała odwiedzić rodziców. Nigdy nie robił jej o to wyrzutów, tylko spokojnie czekał, aż wróci. Wracała po tygodniu lub dziesięciu dniach w dużo lepszym nastroju.

Jednak kartka, którą zostawiła, zniknąwszy pięć dni po trzęsieniu ziemi, różniła się od



poprzednich. „Nie zamierzam do Ciebie wracać” – napisała. Dalej wyjaśniła zwięźle i jasno, dlaczego nie chce już z nim żyć. „Nic mi nie dajesz. A ściślej mówiąc, nie ma w Tobie nic, co mógłbyś mi dać. Jesteś dobry, życzliwy, przystojny, ale życie z Tobą przypomina życie z grudą stwardniałego powietrza. Oczywiście to nie tylko Twoja wina. Myślę, że jest wiele kobiet, które Cię chętnie pokochają. Nie dzwoń do mnie. Pozbądź się wszystkich moich rzeczy”.

Lecz nie zostawiła prawie nic. Wszystko zniknęło – jej ubrania, buty, parasolka, kubek do kawy, suszarka do włosów. Po jego wyjściu do pracy musiała to spakować i wysłać, korzystając z jakiejś firmy przewozowej. Z „jej rzeczy” pozostał tylko rower z koszykiem na zakupy oraz kilka książek. Z półki z kompaktami zniknęły praktycznie wszystkie albumy Beatlesów i Billa Evansa, które Komura kolekcjonował od czasów kawalerskich.

Następnego dnia zadzwonił do teściów. Odebrała teściowa i powiedziała, że córka nie chce z nim rozmawiać. Mówiła przeproszającym tonem. Dodała, że wyślą mu dokumenty i proszą, żeby je jak najszybciej podpisał i odesłał. Komura odrzekł, że rozumie ich pośpiech, lecz jest to poważna sprawa, toteż prosi o trochę czasu na zastanowienie.

– Myślę, że zastanawianie się nic tu nie zmieni – powiedziała teściowa.

Pewnie ma rację, pomyślał Komura. Może sobie czekać i się zastanawiać ile, chce, ale i tak nie ma już powrotu do tego, co było dawniej. Zdawał sobie z tego sprawę.

Wkrótce po podpisaniu i odesłaniu dokumentów rozwodowych wziął tydzień urlopu. Szef mniej więcej orientował się w sytuacji, a przy tym w lutym ruch w sklepie był nieduży, więc nie robił trudności. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz w końcu się nie odezwał.

– Podobno bierze pan urlop. Zaplanował pan coś? – zapytał Sasaki, kolega z pracy, podchodząc do Komury w czasie przerwy obiadowej.

– Nie, sam jeszcze nie wiem, co by tu zrobić.

Sasaki był kawalerem. Trzy lata młodszy od Komury, drobny, krótko ostrzyżony, nosił okrągłe okulary w metalowych oprawkach. Gadatliwy, czasami traktował ludzi z góry i nie był zbyt lubiany, lecz z niekonfliktowym Komurą dość dobrze się dogadywali.

– Jak już pan bierze urlop, to warto chyba pojechać na jakąś wycieczkę?

– Uhm – zgodził się Komura.

Sasaki przetaił chusteczką okulary, a potem spojrzał na niego badawczo.

– Był pan kiedyś na Hokkaido?

– Nie.

– Ma pan ochotę pojechać?

– Dlaczego pan pyta?

Sasaki zmrużył oczy i chrząknął.

– Szczerze mówiąc, mam małą paczuszkę, którą trzeba dostarczyć do Kushiro, i pomyślałem, że świetnie byłoby, gdyby pan mógł ją zawieźć. Byłbym panu bardzo wdzięczny i chętnie zapłaciłbym za bilet lotniczy tam i z powrotem. Pokryłbym też koszty noclegu.

– Małą paczuszkę?

– Mniej więcej tej wielkości. – Sasaki narysował w powietrzu sześcian o krawędzi około dziesięciu centymetrów.

– Ma to coś wspólnego z pracą?

Sasaki pokręcił głową.

– Nie ma żadnego związku. To w stu procentach prywatna sprawa. Trzeba się z tym ostrożnie obchodzić, więc nie chcę wysłać pocztą czy jakimś kurierem. Najchętniej powierzyłbym komuś

znajomemu. Prawdę mówiąc, sam powinienem to zawieźć, ale nie mogę wykroić czasu na wyjazd na Hokkaido.

– To coś cennego?

Sasaki lekko skrzywił usta, a po chwili przytaknął.

– Tak, ale to nie jest łatwo tłukące ani niebezpieczne, więc nie ma potrzeby się denerwować. Wystarczy traktować jak zwykłą paczuszkę. Nie przyczepią się też do pana przy prześwietlaniu bagażu. Nie sprawiłoby to panu kłopotu. Wolę nie wysyłać pocztą raczej ze względów sentymentalnych.

W lutym na Hokkaido na pewno będzie straszny mróz, ale Komurze było obojętne, czy jest zimno, czy gorąco.

– I komu miałbym to przekazać?

– Moja młodsza siostra tam mieszka.

Komura w ogóle nie zastanowił się, jak spędzi urlop, lecz nie chciało mu się też nic planować, więc postanowił spełnić prośbę Sasaki. Nie miał nic przeciwko wyjazdowi na Hokkaido.

Sasaki od razu zadzwonił do linii lotniczych i zarezerwował miejsce do Kushiro. Samolot odlatywał za dwa dni po południu. Nazajutrz Sasaki dał Komurze zawiniętą w brązowy papier paczuszkę – coś jakby pudełko wielkością i kształtem przypominające urnę. Sądząc po twardości, musiało być drewniane. Tak jak mówił Sasaki, paczuszka prawie nic nie ważyła. Papier był z zewnątrz pooklejany przezroczystą taśmą. Komura przez chwilę przyglądał się paczuszce. Potrząsnął nią lekko, lecz w środku nic się nie poruszyło, nie dobiegł żaden odgłos.

– Siostra wyjdzie po pana na lotnisko. Powiedziała, że załatwi panu hotel. Proszę stanąć zaraz po wyjściu z samolotu z pudełkiem w rękę, tak żeby je zauważyła. Niech się pan nie martwi, znajdzie pana. To nieduże lotnisko.

Przed wyjściem z domu Komura owinał paczuszkę w gruby podkoszulek i wsadził do torby pomiędzy inne rzeczy. Zaskoczył go tłok w samolocie. Zachodził w głowę, po co tylu ludzi jeździ w środku zimy z Tokio do Kushiro.

Gazetę nadal wypełniały artykuły o trzęsieniu ziemi. Podczas lotu przeczytał poranne wydanie od początku do końca. Stale rosła liczba ofiar. W wielu rejonach miasta ciągle nie było wody ani prądu, ludzie nie mieli dachu nad głową. Jedna po drugiej ujawniały się nowe tragedie. Jednak Komurze te szczegóły zdawały się dziwnie dwuwymiarowe, pozbawione głębi. Wszystkie odgłosy były dalekie i monotonne. Stosunkowo normalnie mógł myśleć tylko o żonie, która coraz bardziej się od niego oddalała.

Machinalnie przebiegał wzrokiem artykuły o trzęsieniu ziemi, czasami przypominał sobie żonę i znów wracał do gazety. Kiedy zmęczyło go myślenie o żonie i wodzenie wzrokiem po rządkach druku, zamknął oczy i zapadł w krótką drzemkę. Po obudzeniu ponownie pomyślał o żonie. Dlaczego w takim skupieniu od rana do wieczora śledziła w telewizji informacje o trzęsieniu ziemi, zapominając o całym świecie? Co ona tam widziała?

Na lotnisku podeszły do niego dwie młode kobiety ubrane w płaszcze o identycznym kroju i kolorze. Jedna miała jasną cerę, krótkie włosy i prawie metr siedemdziesiąt wzrostu. Jej pełna górna warga znajdowała się w dość dużej odległości od nosa, co powodowało, że kobieta niejasno przywodziła na myśl jakieś zwierzę z gatunku przeżuwaczy. Jej towarzyszka miała metr pięćdziesiąt pięć i była dość ładna, nie licząc nieco zbyt małego nosa. Proste włosy sięgały jej do ramion. Uszy były odsłonięte i na płatku prawego widniały dwa pieprzyki. Rzuciły się w oczy, ponieważ nosiła

kolczyki. Obie wyglądały na dwadzieścia parę lat. Zaprowadziły go do kawiarni na lotnisku.

– Jestem Keiko Sasaki – powiedziała ta wyższa. – Brat mówił, że wiele panu zawdzięcza. A to moja przyjaciółka, Shimao.

– Bardzo mi miło. – Ukłonił się.

– Dzień dobry – odparła Shimao.

– Brat mówił, że bardzo niedawno zmarła panu żona – powiedziała Keiko Sasaki tonem pełnym troski.

– Nie, nie zmarła – sprostował Komura po chwili.

– Ale brat przedwczoraj wyraźnie tak powiedział przez telefon. Że pan Komura niedawno stracił żonę.

– No tak, bo po prostu rozwiedliśmy się. O ile wiem, cieszy się dobrym zdrowiem.

– To dziwne. Trudno uwierzyć, że mogłam źle zrozumieć coś tak ważnego. – Wyglądała, jakby dotknęło ją owo nieporozumienie.

Komura wsypał do kawy trochę cukru i delikatnie zamieszał. Wypił łyk. Kawa była słaba i bez smaku. Nie miała treści, a jedynie formę. Co ja właściwie robię w takim miejscu, zastanawiał się zaskoczony.

– Na pewno źle usłyszałam. Nie ma innego wytłumaczenia – odezwała się Keiko Sasaki. Zdawało się, że wrócił jej humor. Wzięła głęboki oddech i lekko przygryzła wargi. – Przepraszam. To było bardzo niegrzeczne z mojej strony.

– To nie ma znaczenia. W sumie wychodzi na to samo.

Podczas ich rozmowy Shimao w milczeniu, z lekkim uśmiechem przyglądała się Komurze. Zdawało się, że poczuła do niego sympatię. Poznał to po wyrazie jej twarzy i zachowaniu. Zapanowało milczenie.

– Przede wszystkim muszę pani przekazać tę ważną przesyłkę – powiedział Komura. Otworzył suwak torby i odwinął paczuszkę z grubego podkoszulka narciarskiego. Zaraz, przecież miałem to trzymać w ręku, żeby mnie poznały, przypomniał sobie. Skąd wiedziały, że to ja?

Keiko Sasaki przyjęła podaną paczuszkę i przyjrzała się jej pozbawionymi wyrazu oczami. Zważyła w ręku, a potem tak jak Komura potrząsnęła nią lekko kilka razy koło ucha. Uśmiechnęła się do Komury na znak, że wszystko w porządku, i schowała do dużej torby na ramię.

– Muszę do kogoś zadzwonić. Pozwoli pan, że na chwilę odejdę? – zapytała.

– Proszę. Oczywiście, proszę bardzo.

Keiko zawiesiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę widocznej w oddali budki. Komura przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Górna część jej ciała była całkowicie usztywniona, tylko biodra poruszały się rytmicznie jak koło zamachowe jakiejś maszyny. Kiedy patrzył, jak idzie, odniósł niezwykle wrażenie, że obserwuje jakąś scenę z przeszłości, którą nieoczekiwanie i przypadkowo wtłoczono w teraźniejszość.

– Byłeś już kiedyś na Hokkaido? – zapytała Shimao.

Komura potrząsnął przecząco głową.

– No tak, to daleko.

Komura przytaknął. Rozejrzał się dookoła.

– Ale kiedy tak tu siedzę, nie odnoszę wrażenia, że jestem gdzieś daleko. Dziwne, prawda?

– To przez samolot. Za szybko leci. Ciało się przesuwa, lecz świadomość za nim nie nadąży.

– Może i tak.

– Chciałeś się znaleźć gdzieś daleko?

– Chyba tak.

– Z powodu odejścia żony?

Komura skinął twierdząco głową.

– Można pojechać daleko, lecz nie ucieknie się od samego siebie.

Komura, który przyglądał się bezmyślnie cukiernicze na stoliku, podniósł wzrok na Shimao.

– Rzeczywiście. Masz rację. Można pojechać daleko, lecz nie ucieknie się od samego siebie.

Tak jak od cienia. Nie można od niego uciec.

– Musiałeś kochać żonę.

Komura uniknął odpowiedzi, zmieniając temat.

– Jesteś przyjaciółką Keiko Sasaki?

– Tak. Trzymamy się razem.

– Trzymacie się razem?

– Nie jesteś głodny? – odpowiedziała pytaniem.

– Sam nie wiem. Zdaje mi się, że i tak, i nie.

– To chodźmy we trójkę zjeść coś ciepłego. Kiedy człowiek zje coś ciepłego, robi mu się lżej na sercu.

Shimao prowadziła samochód. Było to niewielkie subaru z napędem na cztery koła. Sądząc po tym, jak było zdezelowane, musiało mieć na liczniku ze dwieście tysięcy. Tylony zderzak był mocno wgnieciony. Keiko Sasaki siedziała z przodu, a Komura wcisnął się do tyłu. Shimao nie była złym kierowcą, lecz na tylnym siedzeniu panował straszny hałas, resory też były bardzo zużyte. Samochód rzucał gwałtownie przy automatycznej redukcji biegów, ogrzewanie samo się włączało i wyłączało. Kiedy zamknął oczy, doznał wrażenia, że znajduje się w pralce automatycznej.

W Kushiro nie było śniegu. Po dwóch stronach drogi widniały tu i tam przymarznięte plamy brudnych starych zasp; wyglądały jak słowa, które wyszły z użycia. Chmury wisiały nisko i choć zostało jeszcze trochę czasu do zachodu, wokół było zupełnie ciemno. Podmuchy wiatru ze świstem przecinały mrok. Na ulicach nie było prawie nikogo. Miasto wyglądało na wymarłe, nawet światła na skrzyżowaniach zdawały się zamarznięte.

– W porównaniu z resztą wyspy tu opady śniegu nie są zbyt duże – odezwała się głośno Keiko Sasaki, odwracając się do Komury. – Miasto leży nad morzem, do tego wiatry są silne, więc nawet jak trochę napada, wiatr to od razu rozwiewa. Ale mrozy są okropne. Czasem zdaje się, że uszy człowiekowi odpadną.

– Kiedy jakiś pijak zaśnie gdzieś w rowie, często już się nie budzi – dodała Shimao.

– Są tu niedźwiedzie? – zapytał Komura.

Keiko spojrzała na Shimao i roześmiała się.

– Pyta o niedźwiedzie.

Shimao też zachichotała.

– Niewiele wiem o Hokkaido – powiedział Komura przepaszająco.

– Znamy ciekawą historię o niedźwiedziach – oznajmiła Keiko. – Prawda? – zwróciła się do Shimao.

– Strasznie ciekawą historię.

Na tym rozmowa się urwała i Komura nie usłyszał opowieści o niedźwiedziach, lecz nie śmiał pytać. Wkrótce dotarli do celu. Była to duża przydrożna restauracja, w której podawano rāmen – zupę z makaronem w stylu kuchni chińskiej. Zostawili samochód na parkingu i weszli. Komura zamówił piwo i gorący rāmen. Restauracja była brudnawa, pusta, krzesła i stoliki rozchwiane, lecz rāmen okazał się bardzo smaczny i po zjedzeniu Komura rzeczywiście poczuł się spokojniejszy.

– Co chciałbyś zobaczyć na Hokkaido? – zapytała Keiko Sasaki. – Słyszałam, że możesz tu

spędzić około tygodnia.

Komura zastanawiał się przez chwilę, lecz nic nie przyszło mu do głowy.

– Może pojedziesz do gorących źródeł? Masz ochotę posiedzieć w ciepłej wodzie i zrelaksować się? Tu niedaleko jest taki niewielki rustykalny pensjonat z wodami mineralnymi.

– Niezły pomysł – powiedział Komura.

– Na pewno ci się spodoba. To ładne miejsce. I nie ma niedźwiedzi.

Spojrzały na siebie i znów się roześmiały.

– Czy mogę o coś spytać w związku z twoją żoną? – zapytała Keiko.

– Nie ma sprawy.

– Kiedy odeszła?

– W pięć dni po trzęsieniu ziemi, czyli już ponad dwa tygodnie temu.

– To miało coś wspólnego z trzęsieniem ziemi?

Komura potrząsnął głową.

– Myślę, że nie.

– Ale zdaje mi się, że takie rzeczy mogą się jakoś ze sobą łączyć – powiedziała Shimaō, lekko przechylając głowę.

– Tylko ty nie wiesz jak – dodała Keiko.

– Takie rzeczy się zdarzają – ciągnęła Shimaō.

– Takie rzeczy, to znaczy jakie? – zapytał Komura.

– Znam kogoś, komu się to przydarzyło – powiedziała Keiko.

– Mówisz o panu Saeki? – spytała Shimaō.

– Uhm. Mam znajomego, pana Saeki. Fryzjer, koło czterdziestki, mieszka w Kushiro. Jego żona widziała zeszłej jesieni UFO. Nocą jechała samochodem i na przedmieściach zobaczyła, że wielkie ciężko UFO ląduje na łące. Jak w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*. Po tygodniu odeszła z domu. Nie mieli żadnych problemów rodzinnych, nic takiego. Po prostu zniknęła i więcej nie wróciła.

– Od tego czasu jej nie widziano – powiedziała Shimaō.

– Z powodu UFO? – zapytał Komura.

– Nie wiadomo, z jakiego powodu. Pewnego dnia gdzieś zniknęła. Opuściła dwoje swoich dzieci w wieku szkolnym, nawet kartki nie zostawiła – odparta Keiko. – A przez tydzień przed odejściem każdemu opowiadała tylko o UFO. Mówiła praktycznie bez przerwy. Jakie było wielkie, jakie ładne i tak dalej.

Czekały, aż Komura przetrawi tę historię.

– W moim przypadku była kartka. I dzieci nie mamy.

– Czyli masz trochę lepiej niż pan Saeki – oznajmiła Keiko.

– Z dziećmi to poważna sprawa – pokiwała głową Shimaō.

– Jej ojciec odszedł, kiedy miała siedem lat – wyjaśniła Keiko, marszcząc brwi. – Uciekł z młodszą siostrą żony.

– Pewnego dnia, niespodziewanie – dodała Shimaō z uśmiechem.

Zapadło milczenie.

– Może żona pana Saeki nie odeszła, tylko zabrali ją kosmici? – powiedział Komura, chcąc je przerwać.

– Niewykluczone – odrzekła poważnie Shimaō. – Często się słyszy takie historie.

– A może szła sobie spokojnie drogą i niedźwiedź ją zjadł? – zastanawiała się Keiko.

Kobiety znów się roześmiały.

Po wyjściu z restauracji poszli do pobliskiego *love hotel*<sup>III</sup>. Na krańcu miasta była ulica, przy której ciągnęły się na zmianę zakłady kamieniarskie i *love hotels*. Shimao zaparkowała przed jednym z nich. Była to niezwykła budowla w kształcie europejskiego zamku. Powiewała nad nią trójkątna czerwona flaga.

Keiko dostała w recepcji klucz i we trójkę pojechali windą do pokoju. Okno było nieduże, za to łóżko absurdalnie wielkie. Komura zdjął puchową kurtkę, powiesił na wieszaku i poszedł do toalety. W tym czasie kobiety sprawnie przygotowały mu kąpiel, pozapalały światła, upewniły się, że działa ogrzewanie, włączyły telewizor, przejrzały jadłospisy pobliskich restauracji, dostarczających dania do hotelu, wypróbowały działanie przycisków przy łóżku i sprawdziły zawartość lodówki.

– Właściciel jest moim znajomym. Dlatego dostałeś największy pokój – powiedziała Keiko Sasaki. – Jak widzisz, jest to *love hotel*, ale nie przejmuj się tym. Chyba ci to specjalnie nie przeszkadza?

Odpowiedział, że mu nie przeszkadza.

– Tu jest dużo lepiej niż w byle jakim ciasnym hotelu przy dworcu, w którym zatrzymują się ludzie w delegacji.

– Może i tak.

– Wanna jest już pełna. Może się wykąpiesz?

Komura wykąpał się. Wanna była ogromna i sam czuł się w niej niepewnie. Goście tego hotelu pewnie zwykle kąpali się razem.

Kiedy wyszedł z łazienki, Keiko Sasaki już nie było. Shimao sama oglądała telewizję, popijając piwo.

– Keiko poszła do domu. Mówiła, że musi coś załatwić. Przyjdzie jutro rano. Czy mogę jeszcze trochę zostać i napić się piwa?

Komura powiedział, że może.

– Nie przeszkadzam ci? Może wolałbyś być sam? Albo czujesz się skrępowany przy obcej osobie?

Powiedział, że mu nie przeszkadza. Napił się piwa i wycierając głowę ręcznikiem, oglądał razem z Shimao telewizję. Było to specjalne wydanie wiadomości o trzęsieniu ziemi. W kółko pokazywali te same ujęcia – przechylone budynki, zniszczona droga, płacząca staruszka, chaos i bezsilny gniew. Kiedy zaczęły się reklamy, Shimao wyłączyła pilotem telewizor.

– Skoro już tu razem jesteśmy, to porozmawiajmy o czymś.

– Dobrze.

– O czym by tu porozmawiać?

– W samochodzie wspomnieliście o niedźwiedziu. O jakiejś ciekawej historii o niedźwiedziu.

– Uhm... Jest taka... – przytaknęła.

– Może byś mi ją opowiedziała?

– Dobrze.

Wyjęła z lodówki nowe piwo i rozlała do szklanek.

– Jest trochę nieprzyzwoita. Nie masz nic przeciwko temu?

Komura pokręcił przecząco głową.

– Niektórzy mężczyźni tego nie lubią.

– Ja do nich nie należę.

– To się zdarzyło mnie, dlatego trochę się wstydzę o tym mówić.

– Jeśli nie chcesz, to nie opowiadaj.

– Opowiem, jeśli ty chcesz.

Powiedział, że chce.

Shimao wypła łyk piwa.

– Jakies trzy lata temu, kiedy zaczynałam szkołę pomaturalną, chodziłam z pewnym chłopakiem. Studentem, o rok starszym ode mnie. Był moim pierwszym mężczyzną. Pojechaliśmy razem w góry. Daleko na północ.

Znow wypła łyk piwa.

– Była jesień i w górach pojawiały się niedźwiedzie. Jesienią zbierają pożywienie, szykując się do snu zimowego, i są dość niebezpieczne. Czasami atakują ludzi. Wtedy też trzy dni wcześniej napadły i ciężko poraniły jakiegoś turystę. Dlatego ktoś miejscowy dał nam dzwoneczek. Dość duży, jak te, które ludzie wieszają na werandach, żeby dźwięczały na wietrze. Powiedział, że mamy iść, podzwaniając dzwoneczkiem. Dzięki temu niedźwiedzie będą wiedziały, że w pobliżu są ludzie, i nie pokażą się. Wcale nie chcą atakować ludzi. Są niby wszystkożerne, ale głównie roślinożerne, więc nie muszą napadać na ludzi. Tylko czasami, kiedy ktoś nieoczekiwanie pojawia się na ich terenie, są przestraszone albo rozsierdzone i instynktownie atakują. Dlatego jeżeli idzie się z dzwoneczkiem, niedźwiedź będzie się trzymał z daleka. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Szliśmy tak górskim szlakiem, podzwaniając. Nagle w jakimś odludnym miejscu on powiedział, że ma ochotę na te rzeczy. Ja nie miałam nic przeciwko temu, więc się zgodziłam. Zeszliśmy ze szlaku i weszliśmy w zarośla, w których byliśmy niewidoczni. Rozłożyliśmy plastikową płachtę. Ale ja się bałam niedźwiedzi. Przecież strasznie byłoby, gdyby niedźwiedź zaatakował i zabił człowieka, kiedy się kocha. Nie chce się tak umierać, nie uważasz?

Komura potwierdził.

– I dlatego kochaliśmy się, potrząsając dzwoneczkiem. Przez cały czas, od początku do końca. Dzyń, dzyń.

– Kto potrząsał?

– Na zmianę. Kiedy jedna osoba się zmęczyła, zaczynała druga, potem znowu ta pierwsza. To było strasznie dziwne. Kochasz się, potrząsając dzwoneczkiem. Jeszcze teraz kiedy się z kimś Kocham, czasami przypominam to sobie i wybucham śmiechem.

Komura roześmiał się krótko.

Shimao zaklaskała.

– Bardzo dobrze! Jednak potrafisz się śmiać.

– Oczywiście – powiedział Komura, lecz zdał sobie sprawę, że od bardzo dawna się nie śmiał.

Kiedyż on się ostatnio śmiał?

– Czy ja też mogę się wykąpać?

– Proszę bardzo.

Kiedy się kąpała, Komura oglądał w telewizji program rozrywkowy. Prowadził go komik, który głośno mówił. Wcale go nie śmieszył, ale nie potrafił ocenić, czy to wina programu, czy jego własna. Napił się piwa i zjadł torebkę orzeszków znalezionej w lodówce. Shimao długo nie wychodziła z łazienki, lecz w końcu wyłoniła się owinięta ręcznikiem i usiadła na łóżku. Zdjęła ręcznik i zrećźnie jak kot wślizgnęła się pod kołdrę. Spojrzała Komurze prosto w oczy.

– Kiedy ostatnio kochałeś się z żoną?

– Chyba pod koniec grudnia.

– Od tego czasu ani razu?

– Ani razu.

– Z kimś innym też nie?

Komura zamknął oczy i skinął potakująco głową.

– Myślę, że teraz potrzebna ci poprawa nastroju, musisz po prostu cieszyć się życiem – powiedziała Shimaō. – Mam rację, prawda? Przecież jutro może być trzęsienie ziemi. Mogą nas porwać kosmici. Może zjeść niedźwiedź. Nikt nie wie, co się zdarzy.

– Nikt nie wie – powtórzył Komura.

– Dzyń, dzyń.

Komura próbował kilka razy, lecz z seksu nic nie wychodziło, więc poddał się. Nigdy wcześniej nie miał z tym kłopotów.

– Może myślałeś o żonie? – zapytała Shimaō.

– Uhm – odpowiedział, lecz w rzeczywistości prześladowały go obrazy zniszczeń po trzęsieniu ziemi. Ukazywały się jeden po drugim jak na pokazie slajdów. Pojawiały się i znikwały. Autostrada, płomienie, dym, sterty gruzu, szczeliny na jezdni. Za nic nie mógł zatamować tego strumienia bezgłośnych scen.

Shimaō położyła głowę na jego nagiej piersi.

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedziała.

– Uhm.

– Myślę, że nie powinieneś się przejmować.

– Postaram się nie przejmować.

– Ale i tak będziesz się przejmował. Jak to mężczyzna.

Komura milczał.

Shimaō lekko ścisnęła jeden z jego sutków.

– Mówiłeś, że żona zostawiła ci kartkę.

– Mówiłem.

– Co w niej napisała?

– Napisała, że życie ze mną przypominało życie z grudą stwardniałego powietrza.

– Grudą stwardniałego powietrza? – Shimaō odwróciła głowę i spojrzała na niego. – O co jej mogło chodzić?

– Chyba o to, że jestem w środku pusty.

– A jesteś w środku pusty?

– Może jestem. Sam nie wiem. Co to właściwie znaczy, że ktoś jest w środku pusty?

– Hm... Rzeczywiście, sama nie wiem, co to może znaczyć. Moja mama bardzo lubiła skórę łososia i często mówiła, że byłoby świetnie, gdyby istniały łososie składające się z samej skóry. Więc może są przypadki, kiedy lepiej nie mieć nic w środku, prawda?

Komura spróbował wyobrazić sobie łososia składającego się z samej skóry. Ale przecież gdyby istniał taki łosoś, miałby w środku właśnie skórę. Wziął głęboki oddech, a głowa kobiety na jego piersi uniosła się i opadła.

– Nie wiem, czy jesteś w środku pusty, ale uważam, że jesteś cudowny. Na świecie jest mnóstwo kobiet, które chętnie cię pokochają i zrozumieją.

– To też napisała.

– Na tej kartce?

– Uhm.

– Aha – powiedziała zniechęcona Shimaō, a potem znów przytknęła ucho do piersi Komury. Jej kolczyk zdawał się jakimś tajemniczym obcym ciałem.



- Nawiasem mówiąc, co właściwie było w tym pudełku? W tym, które przywiozłem.
  - Nie daje ci to spokoju?
  - Przedtem nic mnie nie obchodziło, a teraz o dziwo nie daje mi spokoju.
  - Od kiedy?
  - Od paru minut?
  - Nagle?
  - Nagle się zorientowałem.
  - Ciekawe, dlaczego tak nagle zaczęło cię to niepokoić?
- Komura zastanawiał się przez chwilę, wpatrując się w sufit.

– Właśnie, dlaczego?

Przez pewien czas oboje wsłuchiwali się w wycie wiatru. Nadlatywał z jakiegoś nieznanego miejsca i znikał w innym nieznanym miejscu.

– To dlatego – odezwała się cicho Shimao – że w tym pudełku było to, co miałeś w środku. A ty, nic o tym nie wiedząc przywiozłeś to aż tutaj i oddałeś Keiko. Dlatego już tego nie odzyskasz.

Komura podniósł się i spojrzał na leżącą kobietę. Mały nosek i pieprzyki na uchu. W głuchej ciszy głośno waliło mu serce. Kiedy się pochylił, zatrzeszczało mu w stawach. Przez chwilę zdawało mu się, że za chwilę popełni jakiś straszliwie gwałtowny czyn.

– Żartowałam – powiedziała Shimao na widok wyrazu jego twarzy. – Powiedziałam, co mi ślina na język przyniosła. Niezbyt śmieszny żart. Przepraszam. Nie przejmuj się. Nie chciałam ci sprawić przykrości.

Komura zapanował nad sobą, rozejrzał się po pokoju i znów złożył głowę na poduszce. Zamknął oczy, odetchnął głęboko. Otaczało go wielkie łóżko, jak nocne morze. Słyszeć było świst lodowatego wiatru. Miał wrażenie, że od gwałtownego bicia serca wibrują mu kości.

- No i jak, poczułeś trochę, że jesteś gdzieś daleko?
- Zdaje mi się, że jestem bardzo daleko – odparł szczerze.

Shimao rysowała palcem na jego piersi skomplikowany wzór, jakby to było jakieś zaklęcie.

– A to dopiero początek – powiedziała.

**Krajobraz z żelazkiem**

Airon-no aru fūkei

Telefon zadzwonił przed północą. Junko oglądała telewizję. Keisuke siedział w kącie ze słuchawkami na uszach. Z przymkniętymi oczami grał na gitarze elektrycznej, potrząsając głową to w prawo, to w lewo. Chyba ćwiczył jakiś szybki pasaż; jego długie palce z wielką zwinnością przesuwały się tam i z powrotem po sześciu strunach. Nie usłyszał telefonu. Junko podniosła słuchawkę.

– Spałaś już? – pan Mitake zawsze mówił stłumionym głosem.

– Nie, nie, jeszcze nie śpimy – odparła Junko.

– Jestem na plaży. Morze wyrzuciło dużo drewna. Możemy zrobić naprawdę wielkie. Mogłabyś przyjść?

– Dobrze – powiedziała Junko. – Zaraz się przebiorę i wyjdę za dziesięć minut.

Włożyła rajstopy, na nie dzinsy, wciągnęła przez głowę sweter z golfem, a do kieszeni wełnianego płaszcza wsunęła papierosy. Dołożyła portmonetkę, zapalki i klucze. Potem trąciła stopą plecy Keisuke. Chłopak pospiesznie zdjął słuchawki.

– Idę na plażę palić ognisko.

– Znowu ten twój pan Mitake – powiedział Keisuke, marszcząc brwi. – On chyba sobie żartuje. Przecież jest luty. Poza tym już północ. Powiedział, że teraz będzie palił na plaży ognisko?

– Ty nie musisz iść. Pójdę sama.

Keisuke westchnął.

– Ja też pójdę. Pójdę. Poczekaaj, zaraz będę gotów. – Wyłączył wzmacniacz, na piżamę nałożył spodnie i sweter, zamek puchowej kurtki zasunął aż pod samą brodę. Junko owinęła szyję szalikiem i włożyła wełnianą czapkę.

– On jednak jest naprawdę stuknięty na punkcie ognisk. Co on w nich widzi? – spytał Keisuke, gdy schodzili drogą prowadzącą do morza. Noc była zimna, lecz bezwietrzna, a oddech zamarzał w kształcie wypowiedzanych słów.

– A co ludzie widzą w Pearl Jam? Przecież to tylko hałas – odrzekła Junko.

– Pearl Jam ma ponad dziesięć milionów fanów na całym świecie.

– A ogniska mają fanów na całym świecie od pięćdziesięciu tysięcy lat.

– Też prawda – przyznał Keisuke.

– I ogniska przetrwają, gdy po Pearl Jam nie będzie już śladu.

– To też prawda. – Keisuke wyjął prawą rękę z kieszeni i otoczył Junko ramieniem. – Ale wiesz, problem polega na tym, że to, co było pięćdziesiąt tysięcy lat temu, i to, co będzie za pięćdziesiąt tysięcy lat, wcale mnie nie obchodzi. Wcale. Ważne jest teraz. Przecież nie wiadomo, kiedy będzie koniec świata. Czy warto w ogóle myśleć o takiej dalekiej przyszłości? Ważne jest, żeby tu i teraz się najeść i żeby mi stawał, zgadzasz się?

Zeszli po schodach i zatrzymali się na betonowym nabrzeżu nad plażą. Znaleźli pana Mitake tam, gdzie zwykle. Zbierał i starannie układał w stos wyrzucone przez morze różne kawałki drzewa. W samym środku leżała gruba kłoda. Musiał się napracować, żeby ją tu przyciągnąć.

Światło księżycy niczym nóż odcinało morze od plaży. Zimowe fale łagodnie i cicho obmywały piasek.

– No jak? Dość dużo się zebrało, prawda? – powiedział pan Mitake, wypuszczając białe chmurki oddechu.

– Strasznie dużo – odparła Junko.

– Czasami tak się zdarza. Parę dni temu morze bardzo się burzyło, prawda? Ostatnio nauczyłem się to poznawać po szumie fal. Mówię sobie wtedy: teraz wyrzuca na brzeg dobre drewno.

– Niech się pan przestanie chwalić, bo trzeba się szybko ogrzać. Jaja mi na tym mrozie

skostnieją – powiedział Keisuke, rozcierając ręce.

– No dobrze, dobrze, poczekajcie. Tutaj ważna jest kolejność. Najpierw trzeba obmyślić plan, wykonać, upewnić się, że jest dobrze, a potem powoli zapalić ogień. Jeśli się człowiek spieszy, to nic nie wyjdzie. Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy.

– A jak się dziwka spieszy, klient się nie cieszy – powiedział Keisuke.

– Młody jesteś i dlatego opowiadasz takie głupie dowcipy – pokręcił głową pan Mitake.

Mniejsze drewnianki były zręcznie poutykane wokół grubej kłody i stos wyglądał jak awangardowa rzeźba. Trzeba było odejść parę kroków, uważnie sprawdzić kształt całości, poprawić tu i ówdzie, obejrzeć wszystko z drugiej strony – jak zawsze, czynności te zostały wielokrotnie powtórzone. Gdy się patrzy na ułożenie dREW, w myślach powstaje obraz płonącego ognia. Jak w głowie rzeźbiarza, który ogląda kamień i wyobraża sobie ukryty w nim kształt przyszłego dzieła.

Upłynęło dość dużo czasu, zanim pan Mitake uznał przygotowania za zakończone. Pokiwał głową, jakby mówił: „No dobrze”, potem zwinął przygotowane gazety w rulon, wsunął je na sam spód pomiędzy kawałki drzewa i podpalił plastikową zapalniczką. Junko wyjęła z kieszeni paczkę papierosów, włożyła jeden do ust i zapaliła zapałką. Potem, mrużąc oczy, przyglądała się przygarbionym plecóm i lekko przerzedzonym włosóm pana Mitake. To był decydujący moment. Czy stos zajmie się, czy nie? Czy wystrzeli ku górze wielki ogień?

Wszyscy troje stali, w milczeniu przyglądając się stosowi drewna. Gazety zajęły się szybko, przez chwilę drżały w płomieniach, aż skurczyły się, zwinęły i znikły. Potem przez pewien czas nic się nie działo. Nie udało się, pomyślała Junko. Być może drzewo było bardziej wilgotne, niż się wydawało.

Gdy całkiem straciła nadzieję, ku górze, jak jakiś sygnał, zaczęła unosić się biała nitka dymu. Ponieważ nie było wiatru, dym wznosił się jedną nieprzerwaną smugą. Już się rozpałiło, ale nie widać jeszcze płomienia.

Nikt się nie odzywał. Nawet Keisuke milczał. Włożył ręce w kieszenie kurtki. Pan Mitake przykucnął na piasku, a Junko stała z założonymi rękami i co jakiś czas, jakby sobie przypominając, że pali, zaciągała się papierosem.

Jak zawsze pomyślała o opowiadaniu Jacka Londona pod tytułem *Rozniecić ogień*, o tym, jak mężczyzna podróżujący samotnie w głębi Alaski próbuje rozpałić ognisko na śniegu. Jeśli mu się nie uda, bez wątpienia zamarznie. Słońce szybko chyli się ku zachodowi. Prawie nigdy nie czytała powieści, ale w czasie letnich wakacji w pierwszej klasie liceum musiała napisać wypracowanie na temat wrażeń z lektury. Tamten zbiór opowiadań przeczytała wiele, wiele razy. Opisane sceny ożywały w jej wyobraźni. Razem z tym stojącym u progu śmierci człowiekiem odczuwała bolesne bicie jego serca, jego strach, nadzieję, rozpacz, jakby wszystko dotyczyło jej samej. Jednak w opowiadaniu najważniejsze było to, że mężczyzna w głębi duszy pragnął śmierci. Junko to rozumiała. Nie potrafiła jasno wytłumaczyć, ale od początku rozumiała. Podróżnik naprawdę szuka śmierci. Wie, że to dla jego życia odpowiednie zakończenie. Mimo to jednak musi walczyć ze wszystkich sił. Jego celem jest przeżycie, a przeciwnikiem coś, co go w tej walce przewyższa. Junko była głęboko wstrząśnięta tym fundamentalnym paradoksem, na którym opierało się opowiadanie.

Nauczyciel wyśmiał jej pogląd.

– Bohater szuka śmierci? – powtórzył zrezygnowanym tonem. – Pierwszy raz słyszę taką dziwną interpretację. Brzmi bardzo oryginalnie. – Przeczytał na głos fragment wypracowania Junko i cała klasa wybuchnęła śmiechem.

Ale Junko i tak wiedziała, że wszyscy inni się mylą, nie ona. Przecież inaczej opowiadanie nie miałoby takiego pięknego i spokojnego zakończenia.

– Ogień chyba zgasł, prawda, proszę pana? – zapytał nieśmiało Keisuke.

– Wszystko w porządku. Pali się, nic się nie martw. Teraz tylko się przygotowuje i zaraz pójdzie w górę. Dym ciągle się unosi, prawda? Mówi się przecież, że nie ma dymu bez ognia.

– Mówi się też, że nie ma twardego kutasa bez ładnej dupy.

– Słuchaj no, czy ty tylko o jednym potrafisz myśleć? – zapytał z rezygnacją pan Mitake.

– Jest pan pewien, że nie zgasło?

– Tak, tak, jestem pewien. Za chwilę buchną płomienie.

– A gdzie pan właściwie zdobył taką wiedzę?

– Jaka to tam wiedza! Nauczyłem się tego jako dziecko, w harcerstwie. W harcerstwie każdy się nauczy rozpalać ogniska, choćby nie chciał.

– Aha – powiedział Keisuke. – W harcerstwie.

– Tylko że sama wiedza nie wystarczy. Trzeba też mieć do tego zdolności. Może nie powinienem się chwalić, ale jeśli idzie o palenie ognisk, to w porównaniu z innymi mam szczególne zdolności.

– To dobra zabawa, ale chyba z takich zdolności nie ma pieniędzy?

– Tak, pieniędzy nie ma – roześmiał się pan Mitake.

Jak przepowiedział pan Mitake, wkrótce w tylnej części stosu zaczęły się ukazywać pełgające ogniki. Słysząc było cichy trzask gałązek. Junko westchnęła z ulgą. Dobrze poszło, już nie ma się co martwić. Ognisko się uda. Wszyscy troje powoli wyciągnęli ręce w stronę nowo narodzonego płomienia. Przez pewien czas nie trzeba nic robić. Wystarczy spokojnie patrzeć, jak ogień stopniowo nabiera wigoru. Prawdopodobnie pięćdziesiąt tysięcy lat temu ludzie tak samo grzali ręce nad ogniem, pomyślała Junko.

– Kiedyś mówił pan, że pochodzi z Kobe – rzucił lekko Keisuke, jakby nagle coś sobie przypomniał. – Nikt z pana otoczenia nie ucierpiał podczas trzęsienia ziemi w zeszłym miesiącu? Nie ma pan w Kobe rodziny?

– No, właściwie nie wiem. Już nie mam nic wspólnego z tamtymi stronami. To stare dzieje.

– Mówi pan, że stare dzieje, ale wcale się pan nie pozbył tamtejszego akcentu.

– Naprawdę? Nie pozbyłem się? Sam tego nie słyszę.

– Nie? No jeśli to nie jest akcent z Kansai<sup>[2]</sup>, to ja nie wiem, co to jest – powiedział Keisuke, przesadnie zmieniając i akcentując słowa. – Niech pan nie żartuje.

– Strasznie mówisz! Po co człowiek z Ibaraki nieudolnie naśladowuje tamtejszy akcent? Wy, tutejsi, jak już się obrobicie w polu, to lepiej się zabierzcie za tworzenie gangów motocyklowych.

– Ale mi pan przygadał! Pan potrafi z niewinną miną strasznie dogryźć. Zawsze od razu się pan czepia prostych ludzi z Ibaraki – powiedział Keisuke. – Ale mówiąc poważnie, nic się nikomu nie stało? Ma pan tam przecież chyba jakichś znajomych? Oglądał pan wiadomości?

– Nie mówmy o tym – odparł pan Mitake. – Napijesz się whisky?

– Napiję.

– A ty, Junko?

– Troszeczkę – powiedziała Junko.

Pan Mitake wyjął z kieszeni skórzanej kurtki metalową piersiówkę i podał Keisuke. Chłopak odkręcił, wlał sobie trochę whisky do ust, nie dotykając wargami szyjki, i głośno przełknął. Potem wziął głęboki oddech.

– Dobra – powiedział. – Jest to oryginalna dwudziestojednoletnia single malt wysokiej klasy. Beczka dębowa. Słysząc w niej szum szkockiego morza i westchnienia aniołów.

– Idiota. Plecie, co mu ślina na język przyniesie. To zwykła tania Suntory.

Keisuke podał butelkę Junko, która nalała whisky do zakrętki i wypila drobnymi łykami, jakby tylko próbując. Potem z niewyraźną miną skupiła się na tym specyficznym uczuciu, które ogarnia człowieka, gdy napój ciepłą strugą spływa z przełyku do żołądka. Rozgrzała się trochę od środka. Następny był pan Mitake, który cicho pociągnął z piersiówki, a po nim znów pił Keisuke, głośno przełykając. Whisky przechodziła tak z rąk do rąk, a ogień z każdą chwilą potężniał, aż rozgorzał z całą mocą. Nie nastąpiło to nagle, a raczej powoli, stopniowo. Na tym właśnie polegała wyjątkowość ognisk pana Mitake. Płomienie nasilały się miękko i łagodnie. Jak wyrafinowane, niespieszne pieszczoty bez odrobiny gwałtowności, ogień rozgrzewał serce.

Przy ognisku Junko zawsze stawała się milcząca. Trwała praktycznie w bezruchu, tylko od czasu do czasu lekko zmieniała pozycję. Wydawało jej się, że płomienie wszystko w milczeniu przyjmują, rozumieją i wybaczą. Pomyślała, że prawdziwa rodzina to musi być właśnie coś takiego.

Do tego miasteczka w prefekturze Ibaraki Junko przyjechała w maju, gdy była w trzeciej klasie liceum. Wziąwszy pieczętkę ojca i jego książeczkę bankową, podjęła trzysta tysięcy jenów, napakowała do torby tyle ubrań, ile tylko weszło, i uciekła z domu. Wsiadła do pierwszego lepszego pociągu w Tokorozawie i po kilku przesiadkach dotarła do tego małego miasteczka nad morzem. Nigdy przedtem nawet o nim nie słyszała. W agencji nieruchomości naprzeciw dworca znalazła kawalerkę do wynajęcia, a po tygodniu została sprzedawczynią w sklepie całodobowym przy nadmorskiej szosie. Wysłała do matki list, że jest zdrowa, żeby się o nią nie martwić i żeby jej nie szukać.

Nie cierpiała szkoły i nie znosiła swojego ojca. Kiedy była mała, bardzo się kochali. W wolne dni zawsze gdzieś ją zabierał. Gdy trzymała ojca za rękę, czuła niewyjaśnioną dumę i pewność siebie. Ale kiedy pod koniec szkoły podstawowej dostała miesiączki, zaczęły jej rosnać włosy łonowe i piersi się zaokrągliły, ojciec spojrział na nią innymi, dziwnymi oczami. Skończyła gimnazjum, przekroczyła metr siedemdziesiąt, a wtedy praktycznie przestał ją zauważać.

Nie mogła poszczycić się wynikami w nauce. Na początku gimnazjum była jedną z najlepszych uczennic w klasie, jednak trzy lata później znalazła się wśród najgorszych i ledwo dostała się do liceum. Nie była głupia, lecz nie potrafiła się na niczym skupić. Zaczynała coś, ale nigdy nie udawało jej się tego doprowadzić do końca. Gdy próbowała się skoncentrować, bolała ją głowa, robiło jej się duszno i serce zaczynało bić nierówno. Chodzenie do szkoły stało się czystą torturą.

Wkrótce po zamieszkaniu w miasteczku poznała Keisuke. Dwa lata starszy od niej, był dobrym surferem. Był wysoki, miał włosy ufarbowane na brązowo i ładne zęby. Zamieszkał w tym miasteczku, bo fale były tu duże. Założył z przyjaciółmi zespół rockowy. Studiował na drugorzędym prywatnym uniwersytecie, ale prawie nie chodził na zajęcia i praktycznie nie miał szans na dyplom. Jego rodzina od pokoleń prowadziła cukiernię w centrum Mito i jeśli nie miałby innego wyjścia, zawsze mógł przejąć rodzinny interes; jednak Keisuke wcale nie miał zamiaru zostawać właścicielem cukierni. Uważał, że najlepiej by było, gdyby mógł całe życie rozbijać się z kolegami jeepem, pływać na desce i grać na gitarze w amatorskim zespole. Cóż z tego jednak, że tak uważał, skoro takie beztrudne życie nie mogło przecież trwać wiecznie.

Junko zamieszkała z Keisuke i niebawem poznała pana Mitake. Musiał być po czterdziestce, chudy, drobny, o pociągłej twarzy. Strzygł się krótko i nosił okulary. Miał gęsty zarost i zawsze po południu twarz mu ciemniała, jakby pokrywał ją cień. Nosił spłowiałe koszule khaki albo hawajskie, wyrzucone na bezkształtne płócienne spodnie, oraz stare białe adidas. Gdy nadchodziła zima, na wierzch zakładał strasznie wymiętą skórzaną kurtkę. Czasami nosił też czapkę baseballową. Junko nigdy nie widziała go inaczej ubranego, ale wszystko, co miał na sobie, zawsze wyglądało na

starannie uprane.

W małym nadmorskim miasteczku w okolicy Kashimy nikt inny nie mówił z akcentem z Kansai i pan Mitake, chcąc nie chcąc, się wyróżniał.

– Ten facet wynajmuje tu niedaleko dom, mieszka sam i maluje obrazy – powiedziała Junko koleżanka z pracy. – Nie, nie jest sławny. Nie widziałam jego obrazów. Ale wygląda na to, że prowadzi normalne życie, więc ktoś je chyba kupuje. Czasami jeździ do Tokio, kupuje przybory malarskie i wraca po południu. Mieszka tu już chyba z pięć lat. Często widuję go, jak sam pali na plaży ognisko. Musi lubić ogniska. Zawsze bardzo starannie je układa. Jest małomówny, trochę dziwny, ale to nie jest zły człowiek.

Pan Mitake przychodził do sklepu trzy razy dziennie. Rano kupował mleko, chleb i gazetę, w południe gotowy lunch w pudełku, a wieczorem zimne piwo w puszcze i coś do piwa. Powtarzało się to każdego dnia. Junko poza zwykłym „dzień dobry” nigdy z nim nie rozmawiała, ale instynktownie poczuła do niego sympatię.

Pewnego ranka, kiedy poza nimi dwojgiem nikogo w sklepie nie było, Junko nagle zdecydowała się i zagadnęła:

– Słyszałam, że pan tu blisko mieszka, ale choćby nawet mieszkał pan zaraz obok, dziwię się, że też chce się panu codziennie przychodzić po takie małe zakupy. Przecież mleka czy piwa może pan kupić więcej i trzymać w lodówce. Tak byłoby chyba wygodniej? Oczywiście, ja tylko sprzedaję, więc mnie to nie robi różnicy.

– To prawda. Lepiej byłoby kupić więcej na zapas, ale sytuacja mi nie pozwala – odparł pan Mitake.

Junko spytała, jaka to sytuacja.

– Jak by to powiedzieć? No, taka sobie sytuacja.

– Przepraszam, że zapytałam. Proszę się nie gniewać. Jak czegoś nie rozumiem, to nie mogę wytrzymać i pytam. Nie chciałam pana urazić.

Pan Mitake wahał się przez chwilę i w zakłopotaniu podrapał się w głowę.

– Prawdę mówiąc, nie mam lodówki. Ja w ogóle nie bardzo lubię lodówki.

Junko roześmiała się.

– Ja też za nimi nie przepadam, ale lodówkę mam. Chyba trudno żyć bez lodówki?

– To fakt, trudno, ale jak się nie lubi, to nie ma rady. Jeśli w mieszkaniu jest lodówka, nie mogę się wyśpać.

Bardzo dziwny człowiek, pomyślała Junko. Ale dzięki tej rozmowie jeszcze bardziej zainteresowała się panem Mitake.

Kilka dni później poszła na spacer po plaży i widziała, jak samotnie pali ognisko. Było to niewielkie ognisko ułożone z drewna wyrzuconego przez morze. Junko powiedziała „dzień dobry” i stanęła przy ogniu obok niego. Była o jakieś pięć centymetrów wyższa. Oboje przywitani się tylko, a potem stali w milczeniu, patrząc w ogień.

Nagle, wpatrując się w płomień ogniska, Junko poczuła coś w sobie, w głębi duszy. Był to jakby zlepek uczuć, coś tak żywego i namacalnego, że nie mogło być wytworem wyobraźni. Poczuła, jak wychodzi z jej ciała i gdzieś znika, pozostawiając po sobie jedynie niezwykle uczucie dojmującej tęsknoty. Ramiona Junko pokryły się gęsią skórka.

– Proszę pana, czy jak patrzy pan w ogień, nie ogarnia pana czasem niezwykle uczucie?

– Co masz na myśli?

– Dziwne uczucie, coś, czego w codziennym życiu się nie odczuwa. Jak by to powiedzieć... Jestem głupia i trudno mi to wyrazić, ale kiedy tak patrzę w ogień, wszystko wokół mnie cichnie i

uspokaja się.

Pan Mitake się zamyślił.

– Ogień przybiera dowolne kształty. Zmienia wygląd w zależności od tego, kto mu się przygląda. Jeżeli ciebie, gdy patrzysz w ogień, ogarnia uczucie spokoju, to znaczy, że odbija się w nim twój wewnętrzny spokój. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak.

– Ale nie przy każdym ogniu dzieje się coś takiego. Żeby tak było, ogień też musi być wolny. Z ogniem w piecyku gazowym nic takiego się nie stanie. Z płomieniem zapalniczki też nie. Nie zdarzy się to przy zwyczajnym ognisku. Żeby ogień był wolny, trzeba umieć znaleźć dla niego odpowiednie miejsce. Nie każdy to potrafi.

– Ale pan potrafi?

– Czasem potrafię, czasem nie. Zazwyczaj potrafię. Jeśli robię to całym sercem, to potrafię.

– Lubi pan ogniska, prawda?

Pan Mitake skinął głową.

– To już prawie jak choroba. Zamieszkałem w tej dziurze, ponieważ tutaj morze wyrzuca na plażę więcej drewna niż gdziekolwiek indziej. Tylko z tego powodu. Przyjechałem aż tutaj, żeby palić ogniska. Głupota, no nie?

Od tego dnia Junko, jeżeli tylko miała czas, przychodziła na ogniska pana Mitake. Palił je prawie przez cały rok, z wyjątkiem lata, gdy do późnego wieczoru plaża roiła się od ludzi. Zdarzało się, że palił dwa ogniska w jednym tygodniu, a potem przez cały miesiąc ani jednego. Częstotliwość zależała od tego, ile wyrzuconego przez morze drewna udało mu się zebrać. Za każdym razem, gdy postanowił rozpałcić ognisko, dzwonił do Junko. Keisuke, wyjątkowo zazdrosny, jakoś tego jednego pana Mitake jej wybaczał, nazywając go jej „facetem od ognisk”.

Zajęła się już największa kłoda i ognisko rozpałciło się na dobre. Junko siadła na piasku i w milczeniu wpatrywała się w płomień. Pomagając sobie długą gałęzią, pan Mitake uważnie poprawiał ogień, żeby się nie rozprzestrzeniał i lepiej palił. Co pewien czas dokładał tam, gdzie było trzeba, nowe kawałki spośród stosu drewna, które zgromadził na zapas.

Keisuke powiedział, że boli go brzuch.

– Chyba zmarzłem. Jak zrobię kupę, to mi pewnie przejdzie.

– To może idź do domu i odpocznij – zaproponowała Junko.

– Tak, chyba lepiej będzie, jak pójdę – odparł Keisuke z żalną miną. – A ty co masz zamiar zrobić?

– Odprowadzę ją do samego domu, więc nie musisz się o nią martwić – zapewnił go pan Mitake.

– Dziękuję panu – odrzekł Keisuke i odszedł.

– To naprawdę idiota – pokręciła głową Junko. – Zawsze tak się rozpędza i za dużo pije.

– No tak, ale wiesz, Junko, jeśli człowiek w młodości jest zbyt rozsądny i nie popełnia błędów, to jest nudny. On ma też swoje dobre strony.

– Może i tak, ale prawie w ogóle nie myśli.

– Ciężko jest być młodym. Są takie rzeczy, na które nawet myślenie nie poradzi.

Przez pewien czas milczeli, siedząc przy ogniu. Każde z nich myślało o czym innym. Dla każdego z nich czas płynął niezależnie.

– Proszę pana, jedna rzecz nie daje mi spokoju. Czy mogę o coś zapytać?

– O co?



– O coś osobistego. Wiem, że wtrącam się w nieswoje sprawy.

Pan Mitake potarł dłonią ciemniejący na policzkach zarost.

– No nie wiem, spróbuj zapytać.

– Czy pan przypadkiem nie ma gdzieś żony?

Pan Mitake wyjął z kieszeni skórzanej kurtki piersiówkę, odkręcił i powoli napił się whisky. Zakręcił butelkę i wsadził do kieszeni. Następnie spojrzał na Junko.

– Co ci nagle przyszło do głowy?

– Nie nagle. Już przedtem tak sobie pomyślałam, jak Keisuke zaczął mówić o trzęsieniu ziemi, a ja spojrzałam na pana – odparła Junko. – Kiedy ludzie patrzą w ogień, ich oczy są bardzo szczere. Sam pan mi to kiedyś powiedział.

– Tak powiedziałem?

– Dzieci też pan ma?

– Tak, mam. Dwoje.

– Są w Kobe, prawda?

– Tam był mój dom rodzinny. Pewnie jeszcze tam mieszkają.

– W której części Kobe?

– W Higashinada.

Pan Mitake podniósł głowę, spojrzał zmrużonymi oczami na ciemne morze, a potem znów zwrócił wzrok ku ogniewi.

– I dlatego nie mogę powiedzieć, że Keisuke to idiota. Nie mam prawa krytykować innych. Ja też o niczym nie myślę. Jestem królem idiotów. To od razu widać, prawda?

– Chce pan dalej o tym rozmawiać?

– Nie – powiedział pan Mitake. – Nie chcę.

– To dajmy spokój – rzekła Junko. – Ale ja myślę, że pan jest dobrym człowiekiem.

– Nie o to chodzi – odparł pan Mitake, kręcąc głową. Trzymaną w ręku gałęzią narysował coś na piasku. – Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, jak umrzesz?

Junko pomyślała przez chwilę i pokręciła przecząco głową.

– Ja ciągle o tym myślę.

– I jak pan umrze?

– Umrę zamknięty w lodówce – powiedział pan Mitake. – Często się słyszy o takich przypadkach, prawda? Dziecko wchodzi do jakiejś wyrzuconej na śmietnik lodówki, nagle drzwi się zamykają i umiera z braku powietrza. I ja tak umrę.

Gruba kłoda obróciła się i sypnęła iskrami. Pan Mitake nieruchomo przyglądał się płomieniom. Blask ognia nadawał jego twarzy jakiś nierzeczywisty wyraz.

– Będę powoli, po trochu, umierał w jakimś ciasnym ciemnym miejscu. Jak dobrze pójdzie, natychmiast się uduszę, ale pewnie skądś po troszku będzie się sączyło powietrze i nie uda mi się od razu udusić. Umrę dopiero po długim czasie. Mogę sobie krzyczeć, lecz nikt mnie nie usłyszy. Nikt na mnie nie zwróci uwagi. Będzie tam tak ciasno, że nie będę się mógł ruszyć. Choćbym nie wiem jak na nie napierał, od środka drzwi się nie otworzą. Junko milczała.

– Wiele razy miałem taki sen. Budzę się w środku nocy zlany potem. Śni mi się, że umieram powoli, bardzo powoli w zupełnych ciemnościach, cierpiąc męki. Budzę się, lecz sen trwa. Tego się właśnie w nim najbardziej boję. We śnie mam po przebudzeniu straszne pragnienie. Idę do kuchni i otwieram lodówkę. Oczywiście, nie mam w domu lodówki, więc powinienem wiedzieć, że to jeszcze sen, ale nigdy jakoś tego nie zauważam. Mówię sobie, że to dziwna sprawa z tą lodówką, otwieram ją, a wewnątrz panuje ciemność. Nie zapala się światło. Myśląc, że może wyłączyli prąd,

zaglądam do środka, a wtedy z głębi wyciągają się ręce i chwytają mnie za szyję. Lodowate ręce trupa. Te ręce łapią mnie i wciągają do środka. Krzyczę wniebogłosy i dopiero wtedy naprawdę się budzę. Ten sen. Zawsze, zawsze taki sam. Od początku do końca taki sam. Za każdym razem tak samo przerażający.

Pan Mitake trącił płonąca kłodę końcem gałęzi i przewrócił ją na poprzednie miejsce.

– Ten sen jest tak rzeczywisty, że wydaje mi się, jakbym naprawdę już wiele razy umarł.

– Od kiedy ma pan takie sny?

– Od tak dawna, że nawet nie pamiętam od kiedy. Był okres, że się od nich wyzwoliłem. Rok czy może... tak, prawie dwa lata nie miałem tych snów. Wtedy wydawało mi się, że różne rzeczy dobrze się ułożą. Ale sny wróciły. Kiedy już myślałem, że wszystko będzie w porządku, że już nie wrócą, znowu się zaczęło. A jak się zacznie, to już nie ma rady. Nie ma ratunku.

Pan Mitake potrząsnął głową.

– Nie powinienem ci opowiadać takich ponurych rzeczy.

– Dlaczego? – zapytała Junko. – Włożyła do ust papierosa i zapaliła zapalką. Głęboko wciągnęła dym. – Niech pan mówi.

Ognisko się dopalało. Nawet wielki zapasowy stos drewna zniknął pochłonięty przez ogień. Może jej się tylko wydawało, ale miała wrażenie, że szum fal się wzmógł.

– Był taki pisarz amerykański, nazywał się Jack London.

– To ten, który napisał o paleniu ogniska, prawda?

– Znasz to! Jack London przez długi czas myślał, że utopi się w morzu. Głęboko wierzył, że tak właśnie umrze. Że w nocy wpadnie do morza i utopi się, bo nikt tego nie zauważy.

– I rzeczywiście się utopił?

Pan Mitake potrząsnął głową.

– Nie, popełnił samobójstwo, wziął za dużą dawkę morfiny.

– Czyli jego przeczucia się nie sprawdziły. A może nie chciał dopuścić do tego, żeby się sprawdziły?

– Z pozoru tak to wygląda – powiedział pan Mitake. Przez chwilę milczał. – Ale w pewnym sensie się nie mylił. Można powiedzieć, że jednak utonął samotnie w morzu nocą. Rozpił się i umarł w cierpieniach, pogrążony w rozpacz. Czasami przeczucia stają się czymś w rodzaju namiastki rzeczywistych zdarzeń, która bywa bardziej od nich realna. I właśnie dlatego przeczucia bywają przerażające. Rozumiesz?

Junko zamyśliła się nad tym przez chwilę. Nie rozumiała.

– Nigdy się nie zastanawiałam, jak umrę. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Przecież na razie nie mam nawet pojęcia, jak będę żyła.

Pan Mitake skinął głową.

– To prawda. Ale może się zdarzyć coś przeciwnego: to, jak umrzemy, wskaże nam, jak powinniśmy żyć.

– I pan właśnie tak żyje?

– Nie wiem. Czasem zdaje mi się, że tak.

Usiadł obok Junko. Wydawał się bardziej wyniszczony i starszy niż zazwyczaj. Koło jego uszu widoczny był zarost.

– Jakie obrazy pan maluje?

– Bardzo trudno to wytłumaczyć.

Junko spróbowała inaczej sformułować pytanie:

– No to jaki obraz pan ostatnio namalował?

– Trzy dni temu skończyłem *Krajobraz z żelazkiem*. Na środku pokoju stoi żelazko. To wszystko.

– I dlaczego trudno jest to wytłumaczyć?

– Bo to nie jest naprawdę żelazko.

Junko podniosła głowę i spojrzała na pana Mitake.

– Chodzi o to, że żelazko nie jest żelazkiem?

– Tak.

– Czyli jest namiastką czegoś innego?

– Pewnie tak.

– Ale może pan to coś namalować tylko w postaci namiastki, tak?

Pan Mitake przytaknął w milczeniu.

Junko spojrzała na niebo i zauważyła, że przybyło na nim wiele gwiazd. Księżyc też daleko się przesunął. Pan Mitake dołożył do ognia trzymaną w ręku długą gałąź. Junko lekko oparła się o jego ramię. Ubranie pana Mitake przesiąknięte było mrocznym zapachem kilkuset ognisk. Junko przez dłuższą chwilę napawała się tą wonią.

– Proszę pana?

– Co?

– Ja jestem w środku pusta.

– Tak?

– Uhm.

Kiedy zamknęła oczy, nie wiedzieć czemu popłynęły z nich łzy. Spływały po policzkach i skapywały jedna po drugiej. Junko położyła prawą rękę na pokrytym płóciennymi spodniami kolanie pana Mitake i mocno ścisnęła. Cała się trzęsła. Pan Mitake objął ją ramieniem i w milczeniu przygarnął. Ale łzy płynęły dalej.

– Naprawdę nic we mnie nie ma – powiedziała dużo później zachrypniętym głosem. – Jestem zupełnie pusta.

– Rozumiem.

– Naprawdę pan rozumie?

– Ja się na tym dość dobrze znam.

– Co mam zrobić?

– Jeśli się człowiek wyśpi, po przebudzeniu wszystko to na ogół przechodzi.

– To nie takie proste.

– Może i nie. Może to nie takie proste.

Posłyszeli syk pary, w którą zamieniała się ukryta w kłodzie wilgoć. Pan Mitake podniósł głowę, zmrużył oczy i przez chwilę patrzył w tamtą stronę.

– No to co mam zrobić? – spytała Junko.

– Hm... Chcesz teraz razem ze mną umrzeć?

– Dobrze. Mogę umrzeć.

– Mówisz poważnie?

– Poważnie.

Pan Mitake milczał przez chwilę, ciągle obejmując ją ramieniem. Junko ukryła twarz w jego przyjemnie znoszonej kurtce.

– Tak czy inaczej poczekaj, aż ognisko całkiem zgaśnie – powiedział pan Mitake. – Napracowałem się przy nim, więc chcę tu posiedzieć, aż się dopali. Gdy ogień się dopali i będzie całkiem ciemno, możemy razem umrzeć.

– Dobrze – odpowiedziała Junko. – A w jaki sposób umrzemy?

– Zastanowię się.

– Dobrze.

Junko, spowita zapachem ogniska, zamknęła oczy. Obejmujące jej plecy ramię pana Mitake było, jak na ramię mężczyzny, dość drobne i dziwnie żylaste. Chyba nie mogłabym z tym człowiekiem żyć, pomyślała Junko, ale być może mogłabym z nim umrzeć.

Gdy tak opierała się o ramię pana Mitake, powoli ogarniała ją senność. To na pewno z powodu whisky. Większość drewna się rozpadła i obróciła w popiół, lecz najgrubsza kłoda ciągle jeszcze lśniła pomarańczowym światłem i Junko czuła na skórze jej spokojne ciepło. Minie jeszcze trochę czasu, zanim się dopali.

– Czy mogę się zdrzemnąć? – zapytała pana Mitake.

– Pewnie, że możesz.

– Obudzi mnie pan, gdy zgaśnie?

– Nie martw się. Gdy ogień zgaśnie, zrobi się zimno i sama się obudzisz, choćbyś nie chciała.

Junko powtórzyła w myślach te słowa. Gdy ogień zgaśnie, zrobi się zimno i obudzę się sama, choćbym nie chciała. Potem zwinęła się w kłębek i zapadła w krótki głęboki sen.

**Wszystkie boże dzieci tańczą**  
Kami-no kodomotachi-wa mina odoru

Yoshiya obudził się z potwornym kacem. Ze wszystkich sił starał się otworzyć oczy, lecz otworzyło się tylko jedno. Lewa powieka go nie słuchała. Miał wrażenie, że w nocy głowa wypełniła mu się dziurawymi zębami, a z gnijących dziąseł sączy się ropa i od środka rozpuszcza szare komórki. Jeżeli jakoś tego nie powstrzyma, wkrótce przestaną istnieć. Ale zdawało mu się, że nie będzie mógł nic na to poradzić. W miarę możliwości chciałby się jeszcze odrobinę przespać. Jednak wiedział, że już nie uśnie. Zbyt źle się czuł.

Odwrócił się w stronę zegarka przy łóżku, ale z jakiegoś powodu zegarka tam nie było. Nie było go tam, gdzie powinien być. Nie było też okularów. Pewnie nieświadomie gdzieś je rzucił. Już przedtem mu się to zdarzało.

Pomyślał, że musi wstać, lecz kiedy usiadł na łóżku, poczuł zamęt w głowie i znów opadł twarzą na poduszkę. Po okolicy krążył ciężarówką sprzedawca prętów do suszenia bielizny. Jeżeli kupiło się nowy, zabierał stary. Cena nie zmieniła się od dwudziestu lat. Z głośników dobiegał nagrany na taśmę monotony głos mężczyzny w średnim wieku, który mówił, rozwlekając słowa. Gdy Yoshiya to słyszał, kręciło mu się w głowie jak podczas morskiej choroby. Męczyły go mdłości, lecz nie mógł zwymiotować.

Jeden z jego przyjaciół mówił, że kiedy ma kaca, zawsze ogląda poranny program w telewizji. Gdy słucha irytujących głosów nieustępliwych reporterek mówiących o skandalach w świecie artystycznym, od razu udaje mu się zwymiotować.

Lecz tego poranka Yoshiya nie miał siły wstać, żeby włączyć telewizor. Nie chciało mu się nawet oddychać. Przed oczami chaotycznie, lecz uparcie mieszały się przezroczyste światło i biała mgła. Wszystko widział dziwnie dwuwymiarowe. Nagle zastanowił się, czy tak się czuje człowiek w chwili śmierci. W każdym razie nigdy więcej nie chciałby tego przeżywać. Mogę teraz umrzeć. Proszę cię, panie Boże, już nigdy więcej nie karz mnie w ten sposób.

Pan Bóg przywiódł mu na myśl matkę. Chciał się napić wody, więc zaczął ją wołać, lecz wtedy przypomniał sobie, że jest w domu sam. Trzy dni temu matka wyjechała do Kansai z innymi wiernymi. Są różni ludzie, pomyślał. Matka jest ochotniczką i służebnicą pańską, a syn cierpi na kaca kategorii superciężkiej. Nie może wstać. Lewe oko nawet mu się nie otwiera. Z kim on się tak upił? Zupełnie nie pamięta. Kiedy próbuje sobie przypomnieć, mózg zmienia się w kamień. Potem sobie przypomni, powoli.

Pewnie jeszcze nie minęło południe. Po rażącym świetle wpadającym do pokoju przez szparę między zasłonami ocenił, że musi być po jedenastej. Pracował w wydawnictwie, gdzie przez palce patrzono na spóźnienia, nawet w przypadku młodego pracownika jak on. W takich razach nadrabiał, pracując po godzinach. Gdy jednak pojawiał się dopiero po południu, szef rugał go bezlitośnie. Ruganie spływało po nim jak woda po kaczce, lecz wołał nie sprawiać kłopotu wiernemu, z którego polecenia dostał tę pracę.

W końcu wyszedł z domu przed pierwszą. Zwykle pod jakimś pretekstem nie poszedłby w taki dzień w ogóle do pracy, ale miał na dyskietce pewien tekst, który musiał dziś ostatecznie zredagować i wydrukować, a nie mógł o to poprosić nikogo innego.

Z mieszkania, które wynajmowali z matką w Asagaya, pojechał pociągiem linii Chūōsen do Yotsuya, tam przesiadł się w metro linii Marunouchi. Z Kasumigaseki linią Hibiya dotarł do Kamiyachō. Niepewnym krokiem wszedł i zszedł po wielu schodach. Wydawnictwo znajdowało się blisko stacji. Była to niewielka firma specjalizująca się w przewodnikach turystycznych po różnych krajach świata.

Tego wieczoru koło dziesiątej, gdy w drodze do domu przesiadał się na stacji Kasumigaseki, zobaczył mężczyznę, któremu brakowało kawałka ucha. Mógł mieć pięćdziesiąt parę lat, włosy miał

gęsto przyprószone siwizną. Był wysoki, nie nosił okularów, ubrany był w niemodny tweedowy płaszcz, w prawej ręce niósł skórzaną teczkę. Wolnym krokiem człowieka głęboko zamyślonego szedł z peronu linii Hibiya w kierunku linii Chiyoda. Yoshiya bez wahania ruszył za nim. Poczul, że zaschło mu w gardle, jakby było pokryte starą popękaną skórą.

Matka Yoshiyi miała czterdzieści trzy lata, lecz wyglądała na trzydzieści parę. Miała regularne rysy, zdawała się bardzo schludna i zadbana. Dzięki zdrowemu odżywianiu i energicznej gimnastyce rano i wieczorem zachowała dobrą figurę i miała piękną gładką cerę. Do tego była tylko o osiemnaście lat starsza od Yoshiyi, więc bez przerwy brano ją za jego siostrę.

Z natury miała także dość słabo rozwinięty instynkt macierzyński. A może była po prostu ekscentryczna? Gdy Yoshiya poszedł do gimnazjum i zainteresowały go sprawy seksu, spokojnie nadal chodziła po domu w bieliźnie, a czasem nawet zupełnie nago. Spali oczywiście w oddzielnych pokojach, ale kiedy w nocy czuła się samotna, przychodziła do pokoju syna i wślizgiwała się pod kołdrę, nie mając prawie nic na sobie. Zасыiała, otaczając go ramionami jak suka albo kotka. Wiedział, że matka nie robi tego, żeby mu dokuczyć, lecz w takich chwilach czuł się bardzo nieswojo. Musiał przybierać strasznie nienaturalną pozycję, żeby nie zorientowała się, że ma erekcję.

Yoshiya bał się wplątać w jakiś zgubny związek z matką, więc desperacko szukał dziewczyn, które chętnie poszłyby z nim do łóżka. W okresach, kiedy nie miał żadnej pod ręką, specjalnie regularnie się onanizował. Od czasów licealnych za zarobione pracą dorywczą pieniądze chodził do agencji towarzyskich. Robił to wszystko raczej ze strachu, a nie dlatego, że musiał sobie radzić z nadmiernym popędem seksualnym.

Powinien był pewnie w odpowiednim momencie wyprowadzić się z domu i zacząć samodzielne życie. Wielokrotnie bił się z myślami. Rozważał przeprowadzkę, kiedy dostał się na studia, a później powtórnie, kiedy zaczął pracę. Ale w końcu aż do tej pory mieszkał z matką, choć miał już dwadzieścia pięć lat. Jednym z powodów był fakt, że nie wiedział, do czego matka może się posunąć, jeżeli zostawi ją samą. Do tej pory już wiele razy z wielkim trudem powstrzymywał ją przed wprowadzeniem w życie nieoczekiwanych, czasami katastrofalnych (choć dyktowanych dobrą wolą) pomysłów.

Poza tym gdyby nagle powiedział, że się wyprowadza, matka prawdopodobnie zrobiłaby straszne piekło. Chyba nigdy nie przyszło jej do głowy, że kiedyś będą musieli zamieszkać oddzielnie. Ciągle jeszcze dobrze pamiętał, w jakim żalu się pogrzyżyła, jaka była zdenerwowana, kiedy mając trzynaście lat, oświadczył, że wyrzeka się wiary. Przez dwa tygodnie prawie nic nie jadła, nie odzywała się, nie myła, nie czesała, nie zmieniała bielizny. Nawet kiedy dostała miesiączki, nie zachowywała odpowiedniej higieny. Nigdy przedtem nie widział matki tak brudnej, cuchnącej. Serce mu się ścisnęło na myśl, że znów mogłoby do tego dojść.

Yoshiya nie miał ojca. Zawsze była przy nim jedynie matka. Od dzieciństwa powtarzała mu, że jego ojcem jest Pan (tak nazywali swojego boga). Dlatego musi być w niebie. Nie może z nami mieszkać. Ale zawsze myśli o Yoshiyi i strzeże go.

Pan Tabata, który był „duchowym przewodnikiem” Yoshiyi, mówił to samo.

– Rzeczywiście nie masz na tym świecie ojca. Na pewno niektórzy będą o tym gadać różne głupstwa. Niestety, oczy wielu ludzi przesłania mgła i nie widzą prawdy. Ale Pan, twój ojciec, jest całym światem, Yoshiya. Żyjesz otoczony jego miłością. Dlatego musisz być z tego dumny i żyć, jak przystało.

– Ale przecież pan Bóg należy do wszystkich – powiedział Yoshiya, który właśnie poszedł do

pierwszej klasy. – A ojca chyba każdy ma oddzielnie, swojego własnego?

– Posłuchaj, Yoshiya... Pan, który jest twoim ojcem, kiedyś ukaże się tylko tobie. Spotkasz Go, kiedy nie będziesz się tego spodziewał, tam gdzie nie będziesz się tego spodziewał. Lecz jeżeli będziesz wątpił, jeżeli wyrzekniesz się wiary, rozczarujesz Go i być może nigdy ci się nie ukaże. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Będziesz zawsze pamiętał, co powiedziałem?

– Będę pamiętał.

Ale szczerze mówiąc, Yoshiya nie bardzo to rozumiał. Nie wydawało mu się bowiem, że jest kimś szczególnym, bożym dzieckiem. Pod każdym względem był zwyczajnym chłopcem, jakich wszędzie pełno. A może nawet nieco gorszym niż zwyczajny chłopiec. Niczym się nie wyróżniał, ciągle coś mu nie wychodziło. Tak było przez całą szkołę podstawową. Oceny miał możliwe, ale w sporcie był beznadziejny. Biegał wolno, niepewnie, miał krótki wzrok i dziurawe ręce. W meczach baseballowych zwykle nie udawało mu się nawet złapać lecącej z góry piłki. Koledzy z drużyny mieli do niego pretensje, a dziewczyny na trybunie chichotały.

Przed snem modlił się do Boga, swego ojca. „Będę zawsze mocno wierzył, więc proszę Cię, pozwól mi złapać wysoką piłkę na zapolu. To wystarczy. Niczego innego (w tej chwili) nie pragnę”. Jeżeli Bóg był rzeczywiście jego ojcem, powinien wysłuchać takiej niewielkiej prośby. Lecz Bóg jej nie spełniał. Wysokie piłki nadal wypadały mu z rękawicy.

– Yoshiya, próbujesz wystawić Pana na próbę – powiedział ostro pan Tabata. – To dobrze, że się modlisz. Ale musisz się modlić o większe, ważniejsze rzeczy. Nie należy prosić o konkretne rzeczy w określonym terminie.

Kiedy skończył siedemnaście lat, matka wyjawiała mu tajemnicze okoliczności (czy też część tajemniczych okoliczności) jego urodzin. Już czas, żebyś wiedział, powiedziała.

– Mając kilkanaście lat, żyłam jeszcze w głębokiej ciemności – zaczęła opowieść. – Moja dusza była zbłąkana i nieczysta, jakby pogrążona w bagnie głębokim jak morze. Prawdziwe światło kryło się za ciemnymi chmurami. I obcowałam bez miłości z wieloma mężczyznami. Wiesz, co to jest „obcowanie”, prawda?

Yoshiya powiedział, że wie. Kiedy rozmowa dotyczyła spraw seksu, matka często używała strasznie staroświeckich wyrażen. On wówczas „obcował już bez miłości” z kilkoma kobietami.

Matka mówiła dalej:

– Pierwszy raz poczęłam w drugiej klasie liceum. Wtedy nie przywiązywałam do tego wagi. Poszłam do szpitala poleconego przez koleżankę i usunęłam ciążę. Ginekolog był młody, życzliwy, po operacji zrobił mi wykład o antykoncepcji.

– Usuwanie ciąży nie przynosi pożytku ani ciału, ani duszy, poza tym jest niebezpieczeństwo zarażenia się chorobami wenerycznymi, więc używaj tego – powiedział, wręczając mi pudełko prezerwatyw.

Odpowiedziałam, że zawsze używaliśmy prezerwatywy.

– W takim razie nie była dobrze założona – odparł lekarz. – Zaskakująco dużo ludzi nie wie, jak je prawidłowo zakładać.

– Ale ja nie byłam głupia. Bardzo uważałam, żeby nie zajść w ciążę. Kiedy tylko się rozebrałam, od razu sama nakładałam partnerowi prezerwatywę. Wiedziałam, że mężczyznom nie można ufać. Wiesz, co to prezerwatywa, prawda?

Yoshiya, powiedział, że wie.



– Po dwóch miesiącach znowu poczęłam. Uważałam jeszcze bardziej niż przedtem, a mimo to jeszcze raz poczęłam. Nie mogłam w to uwierzyć! Ale nie było rady, poszłam więc do tego samego lekarza. Na mój widok zawołał: – Przecież dopiero co ci mówiłem, że musisz uważać. Co ty sobie myślisz?! – Z płaczem wyjaśniłam, jak uważnie zapobiegałam ciąży przy obcowaniu. Lecz nie uwierzył mi. – Gdyby prezerwatywa była prawidłowo założona, nie doszłoby do czegoś takiego – mówił rozgniewany.

Nie będę wszystkiego opowiadać, bo to długa historia, ale w każdym razie w pół roku później wskutek pewnych niezwyklej okoliczności zaczęłam obcować z tym lekarzem. Miał wtedy trzydzieści lat, był jeszcze kawalerem. Nudno się z nim rozmawiało, lecz był uczciwym, porządnym człowiekiem. Brakowało mu kawałka prawego ucha. W dzieciństwie pies mu go odgryzł. Podobno szedł sobie drogą, gdy nagle skoczył na niego jakiś obcy, wielki czarny pies i odgryzł mu kawałek ucha.

– Ale dobrze, że skończyło się na płątku ucha – mówił. – Brak płątka ucha specjalnie w życiu nie przeszkadza. Z nosem byłoby gorzej. – Ja też tak myślałam.

Dzięki temu związkowi z lekarzem stopniowo znów stałam się dawną sobą. Obcując z nim, mogłam o niczym nie myśleć. Polubiłam nawet jego okaleczone ucho. Traktował pracę bardzo poważnie, więc nawet w łóżku robił mi wykłady o antykoncepcji. Kiedy i jak należy nałożyć prezerwatywę, kiedy i jak trzeba ją zdjąć. Stosowaliśmy wspólnie antykoncepcję, nic jej nie można było zarzucić. A mimo to znowu poczęłam.

Matka poszła do kochanka lekarza i powiadomiła go, że chyba po raz kolejny jest w ciąży. Lekarz ją zbadał i potwierdził, lecz nie przyjął do wiadomości, że jest ojcem.

– Jako specjalista zapobiegałam ciąży całkowicie skutecznie. Więc oznacza to, że musiałaś sypiać z innym mężczyzną – oznajmił.

– Te słowa strasznie mnie zraniły. Trzęsłam się ze złości. Rozumiesz, dlaczego mnie to zraniło, prawda?

Yoshiya powiedział, że rozumie.

– Kiedy byłam z nim związana, absolutnie nie obcowałam z innymi mężczyznami. A mimo to uznał mnie za zwykłą nierządnicę. Nigdy więcej się z nim nie spotkałam. Nie usunęłam ciąży. Chciałam umrzeć. Gdyby pan Tabata nie zobaczył mnie wtedy ślaniającej się na ulicy i nie podszedł do mnie, pewnie wsiadłabym na statek płynący na Ōshimę i rzuciłabym się do morza. Wcale nie bałam się śmierci. Gdybym wtedy umarła, nie przyszedłbyś na świat. Ale dzięki temu, że pan Tabata pokazał mi drogę, zostałam zbawiona. W końcu udało mi się znaleźć prawdziwą światłość. I dzięki pomocy innych wiernych wydałam cię na świat.

Pan Tabata powiedział jej wtedy:

– Tak starannie stosowała pani antykoncepcję, a mimo to zaszła pani w ciążę. Czy sądzi pani, że to dzieło przypadku? Ja tak nie uważam. Trzy przypadki po kolei to już nie przypadek. Trzy to liczba postaci, pod którymi objawia się nam Pan. Innymi słowy, pani Osaki, Pan pragnie, aby wydała pani na świat to dziecko. To nie jest dziecko żadnego mężczyzny. To dziecie Pana, który jest w niebiosach. Nadam temu chłopcu imię Yoshiya, czyli „pełen dobroci”.

– Zgodnie z przepowiednią pana Tabaty, urodził się chłopiec, nadano mu imię Yoshiya, a matka już z nikim nie obcując, zaczęła życie służebnicy pańskiej.

– To znaczy – wtrącił się Yoshiya z wahaniem – z biologicznego punktu widzenia moim ojcem jest ten lekarz ginekolog.

– Nie. On stosował doskonałą antykoncepcję. Dlatego, tak jak mówi pan Tabata, twoim ojcem

jest Pan. Nie przyszedłeś na świat w wyniku obcowania cielesnego, a dlatego, że taka była wola Pana – powiedziała zdecydowanie matka, z ogniem w oczach.

Zdawało się, że głęboko w to wierzy, lecz Yoshiya był przekonany, że to właśnie ów ginekolog jest jego ojcem. Na pewno prezerwatywa miała jakąś wadę produkcyjną. Nie ma innej możliwości.

– A ten lekarz wie, że mnie urodziłaś?

– Myślę, że nie wie. Skąd miałby wiedzieć? Od tego czasu go nie widziałam i nie kontaktowałam się z nim.

Mężczyzna wszedł do pociągu linii Chiyoda jadącego do Abiko. Yoshiya wskoczył do tego samego wagonu. Było po pół do jedenastej wieczorem i pociąg nie był zbyt zatłoczony. Mężczyzna usiadł, wyjął z teczki czasopismo i otworzył na założonej stronie. Wyglądało na jakiś periodyk specjalistyczny. Yoshiya usiadł naprzeciwko, rozłożył gazetę i zaczął udawać, że czyta. Mężczyzna był szczupły, miał poważną szczerą twarz o zdecydowanych rysach. Z jakiegoś powodu sprawiał wrażenie lekarza. Wiek też się zgadzał. Brakowało mu kawałka prawego ucha. Niewykluczone, że odgryzł go pies.

Yoshiya instynktownie czuł, że ten człowiek musi być jego biologicznym ojcem. Prawdopodobnie nie wie nawet, że w ogóle ma syna w moim wieku, myślał. I nawet gdybym mu to teraz wyjawiał, pewnie tak łatwo by mi nie uwierzył. Bo przecież jako specjalista stosował idealną antykoncepcję.

Pociąg minął Shin-Ochanomizu, Sendagi, Machiyę. Wkrótce wynurzył się z tunelu metra na powierzchnię. Na każdej stacji malała liczba pasażerów. Mężczyzna czytał, nie zwracając uwagi na nic innego. Nie wyglądało na to, że zamierza niedługo wysiąść. Yoshiya czytał – nie czytając – wieczorne wydanie gazety i co pewien czas kątem oka obserwował mężczyznę. Po trochu przypominał sobie wydarzenia wczorajszej nocy. Poszedł na drinka do Roppongi z przyjacielem ze studiów i jego dwiema znajomymi dziewczynami. Pamiętał, że potem we czwórkę poszli do dyskoteki. Powoli odżywały w pamięci szczegóły. Czy w końcu przespał się z jedną z tych dziewczyn? Nie, chyba raczej nie. Był tak pijany, że „obcowanie” nie wchodziło w grę.

Część gazety z wiadomościami z kraju nadal wypełniały artykuły o trzęsieniu ziemi. Matka z innymi wiernymi zatrzymała się w Osace w jakimś ośrodku należącym do wspólnoty. Codziennie rano napełniali plecaki niezbędnymi artykułami i jechali pociągiem tak daleko, jak się dało, a potem szli do Kobe szosą zasypaną gruzem i rozdawali ludziom niezbędne produkty. Matka mówiła przez telefon, że plecak potrafi ważyć nawet piętnaście kilo. Yoshiya czuł, że tamto miasto jest oddalone o lata świetlne od niego i siedzącego naprzeciwko mężczyzny zatopionego w lekturze czasopisma.

Przez całą szkołę podstawową raz w tygodniu Yoshiya chodził z matką szerzyć wiarę. Matka miała najlepsze ze wszystkich wiernych wyniki w nawracaniu. Piękna, młoda, czarująca wyglądała na osobę pochodzącą z dobrej rodziny (i rzeczywiście tak było). Do tego prowadziła za rączkę małego chłopczyka. Na jej widok większość ludzi traciła czujność i uznawała, że choć nie są zainteresowani religią, nie zaszkodzi im przecież posłuchać. Chodziła od domu do domu w skromnym (lecz pięknie podkreślającym sylwetkę) kostiumie, przekazywała ludziom książeczki religijne, z uśmiechem i bez natręctwa opowiadała o szczęściu, jakie daje wiara.

– Jeżeli będą państwo mieli jakieś zmartwienia czy kłopoty, proszę koniecznie do nas zajść – mówiła. – Do niczego nie zmuszamy. Wskazujemy jedynie drogę – powtarzała z pałającym wzrokiem, gorąco zachęcając. – Ja też kiedyś, gdy moja dusza błądziła w głębokiej ciemności, zostałam zbawiona dzięki tej nauce. Zamierzałam wtedy rzucić się do morza, choć nosiłam w sobie

to dziecię. Lecz Pan w niebiosach zesłał ratunek i teraz wraz z synkiem żyjemy z Panem w światłości.

Yoshiya nie czuł szczególnej niechęci do chodzenia za rękę z matką po domach obcych ludzi. Przy takich okazjach była dla niego wyjątkowo miła i miała ciepłą dłoń. Często bywali zimno traktowani i nie wpuszczano ich nawet za próg, ale za to cieszył się podwójnie, kiedy spotykała ich życzliwość. A gdy udało im się kogoś nawrócić, czuł dumę. Może dzięki temu Bóg, mój ojciec, trochę mnie doceni, myślał.

Jednak wkrótce po rozpoczęciu gimnazjum Yoshiya wyrzekł się wiary. Obudziła się w nim niezależna świadomość własnego ja i trudno mu było ślepo akceptować i przestrzegać specyficznych surowych przykazań wspólnoty, niezgodnych z ogólnie przyjętymi normami społecznymi. Ale to nie był jedyny powód. Zasadniczym czynnikiem, który zdecydowanie zniechęcił go do wiary, była nieskończona obojętność ojca. Miał mroczne, ciężkie, milczące serce z kamienia. Odrzucenie wiary przez syna głęboko zasmuciło matkę, lecz to nie zachwiało jego postanowieniem.

Gdy prawie wyjeżdżali już z Tokio, dotarłszy do ostatniej stacji przed prefekturą Chiba, mężczyzna włożył czasopismo z powrotem do teczki, wstał i skierował się do drzwi. Yoshiya również wysiadł. Mężczyzna wyjął z kieszeni bilet miesięczny i przeszedł przez bramkę. Yoshiya musiał stanąć w kolejce, żeby dopłacić różnicę w koszcie biletu, lecz gdy wyszedł na ulicę, zdążył jeszcze zobaczyć, że mężczyzna wsiada do taksówki. Wsiadł do następnej, wyciągnął z portfela nowy banknot o wartości dziesięciu tysięcy jenów.

– Pojedzie pan za tamtą taksówką? – zapytał kierowcę.

– Ale proszę pana, to nie jest nic podejrzanego? Nie chodzi o żadne przestępstwo?

– Nie, nic podejrzanego. Wszystko w porządku – odparł Yoshiya. – Zwyczajnie zbieram o nim informacje.

Kierowca w milczeniu przyjął banknot i ruszył.

– Ale za jazdę płaci pan oddzielnie. Włączam licznik.

Wyjechali z ulicy handlowej, na której pospuszczano już żaluzje, minęli kilka ciemnych pustych placów pod budowę, wielki szpital z oświetlonymi oknami, nowe osiedle tandetnie zbudowanych domków poszatowane na małe posesje. Ruchu prawie nie było, więc bez trudu jechali śladem pierwszej taksówki i pościg nie był szczególnie emocjonujący. Kierowca starał się nie zwracać na siebie uwagi, więc to zmniejszał, to zwiększał odległość między swoją a tamtą taksówką.

– Zbiera pan informacje, bo zdradza żonę albo coś w tym rodzaju?

– Nie, chodzi o *head hunting*. Konkurencja między firmami.

– Coś takiego – powiedział kierowca ze zdziwieniem. – To ostatnio konkurujące firmy posuwają się do takich rzeczy? Nie wiedziałem.

Domy stały coraz rzadziej, jechali teraz nadrzeczną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się fabryki i magazyny. Nie było żywego ducha i nowe latarnie strasznie rzucały się w oczy. Taksówka z mężczyzną nagle zatrzymała się przy długim betonowym murze. Na widok świateł hamulcowych kierowca Yoshiya także zahamował około sto metrów dalej. Zgasił światła. Latarnie rtęciowe w milczeniu rozjaśniały asfalt, w ich zasięgu widać było jedynie mur. Nad nim, jak ostrzeżenie dla reszty świata, ciągnął się gruby drut kolczasty. Otworzyły się drzwi tamtej taksówki i Yoshiya zobaczył, że mężczyzna z okaleczonym uchem wysiada. Yoshiya w milczeniu podał kierowcy dodatkowe dwa tysiące jenów.

– Wie pan co? Tędy raczej nie jeżdżą taksówki, więc będzie pan miał kłopot z powrotem. Może trochę poczekam? – zaproponował kierowca.

Yoshiya powiedział, że nie trzeba, i wysiadł.

Mężczyzna ruszył prosto przed siebie wzdłuż betonowego muru, nie rozglądając się wcale dookoła. Szedł powolnym miarowym krokiem, tak samo jak na peronie metra. Wyglądał jak przyciągana magnesem mechaniczna zabawka. Yoshiya postawił kołnierz płaszcza i wypuszczając zza niego białe obłoczki oddechu, ruszył śladem mężczyzny w odległości niepozwalającej mu zorientować się, że jest śledzony. Do uszu Yoshiyi dobiegał jedynie anonimowy odgłos skórzanych butów mężczyzny. W odróżnieniu od nich podbite gumą mokasyny Yoshiyi stapały bezszelestnie.

Wokół nie było śladu życia, zupełnie jakby znalazł się w tymczasowej, nierealnej scenografii ze snu. Skończył się mur, a za nim pojawiło się otoczone siatką złomowisko. Piętrzyły się tam sterty sprasowanych samochodów. Długo leżały wystawione na działanie deszczu, a światło latarni rtęciowych pozbawiło je resztek barw. Mężczyzna minął złomowisko.

Yoshiya nie wiedział, co się dzieje. Po co ten człowiek przyjechał taksówką w takie bezлюдne, puste miejsce? Czy ten człowiek nie musi wracać do domu? A może postanowił wrócić trochę okrężną drogą? Lecz lutowa noc była za zimna na spacer. Powiewy mroźnego wiatru od czasu do czasu uderzały w plecy Yoshiyi. Za złomowiskiem znów był odcinek brzydkiego betonowego płotu, a za nim odchodziła w bok wąska uliczka. Mężczyzna skręcił w nią bez wahania, jakby doskonale znał to miejsce. W uliczce panowały ciemności i nie było widać, co się w niej kryje. Yoshiya chwilę bił się z myślami, lecz wkrótce ruszył w mrok śladem mężczyzny. Przyszedł za nim aż tutaj. Nie może się przecież teraz cofnąć.

Po obu stronach ciasnej uliczki ciągnął się wysoki mur. Była tak wąska, że dwie osoby z trudem by się wyminęły, i panowała w niej ciemność jak na dnie oceanu. Jediną wskazówką był odgłos kroków mężczyzny. Szedł cały czas w tym samym tempie. W świetle, do którego nie docierało światło, Yoshiya posuwał się, zdając się na ten odgłos. Niebawem kroki ucichły.

Czy zorientował się, że jest śledzony? Czy stanął i wstrzymując oddech, sprawdza, co się dzieje z tyłu? W ciemności Yoshiya poczuł, że serce podchodzi mu do gardła, lecz nie zważając na jego gwałtowne bicie, szedł dalej. No i co z tego, że się zorientował? Jeżeli się zorientował, po prostu mu powiem całą prawdę. A może nawet tak będzie prościej?

Wkrótce uliczka się skończyła – był to ślepy zaułek. Drogę zagradyła metalowa siatka, ale kiedy Yoshiya dobrze się przyjrzał, dostrzegł w niej dziurę, przez którą mógł przecisnąć się człowiek. Wyglądała, jakby ktoś specjalnie ją zrobił. Podniósłszy poły płaszcza, Yoshiya przecisnął się przez otwór w siatce.

Po drugiej stronie była duża łąka. A właściwie nie łąka – wyglądało to raczej na jakieś boisko. Wyteżając wzrok w słabej poświacie księżyca, rozejrzał się dookoła. Mężczyzny nigdzie nie było.

Yoshiya stał na boisku baseballowym mniej więcej pośrodku zapola. Pokrywały je podeptane chwasty i tylko wokół pozycji środkowego widniała odsłonięta jak rana ziemia. W oddali za bazą domową wznosiły się czarne skrzydła siatki ochronnej, widać było stanowisko pitchera wystające z ziemi jak guz. Wzdłuż zapola rozpięto wysoką metalową siatkę. Wiejący po boisku wiatr porywał gdzieś torebkę po chipsach.

Z rękami w kieszeniach i wstrzymując oddech, Yoshiya czekał, aż coś się zdarzy, ale nic się nie działo. Spojrzał na prawą stronę boiska, potem na lewą, na stanowisko pitchera, na ziemię pod stopami, a potem podniósł wzrok na niebo. Unosiło się na nim kilka wyraźnie zarysowanych kłębow chmur. Księżyc zabarwiał ich brzegi dziwnym kolorem. Spośród traw dochodził wątyły zapach psiego gówna. Mężczyzna zniknął. Ślad po nim zaginął. Gdyby był tu pan Tabata, powiedziałby: „Yoshiya, Pan pojawia się przed nami w nieoczekiwanym kształcie”.

Lecz pan Tabata zmarł trzy lata temu na raka moczowodu. Przez ostatnich kilka miesięcy cierpiał tak gwałtowne bóle, że nie sposób było na to patrzeć. Czy ani razu nie wystawił Boga na

próbę? Czy nie modlił się, by Bóg choć odrobinę złagodził to cierpienie? Yoshiyi zdawało się, że miałby prawo się o to modlić (choć chodziło o konkretną sprawę w określonym terminie), bo przecież żył tak blisko Boga, rygorystycznie przestrzegając takich surowych przykazań. A do tego – pomyślał nagle Yoshiya – skoro Bóg wystawia człowieka na próby, dlaczego człowiek nie może zrobić tego samego Bogu?

Zakłuło go w skroni, lecz nie potrafił ocenić, czy to pozostałość kaca, czy też ból wywołany czymś innym. Zmarszczył brwi, wyjął ręce z kieszeni i ruszył powoli dużymi krokami w stronę bazy domowej. Jeszcze przed chwilą, wstrzymując oddech, śledził kogoś, kto mógł być jego ojcem. Praktycznie nie myślał o niczym innym. I tak wylądował na tym boisku baseballowym w nieznanym miasteczku. Wraz ze zniknięciem mężczyzny ta seria czynności przestała mieć dla niego sens. Znaczenie jako takie rozłożyło się na części i nie chciało się złożyć. Tak samo jak kiedyś złapanie wysokiej piłki na zapolu było dla niego kwestią życia i śmierci, lecz wkrótce przestało się liczyć.

Co ja właściwie chciałem przez to osiągnąć? – zadawał sobie pytanie, idąc przed siebie. Czy chciałem się upewnić, jak doszło do tego, że teraz tu jestem? Czy pragnąłem znaleźć się w nowym scenariuszu i otrzymać lepiej zdefiniowaną nową rolę? Nie, pomyślał Yoshiya. Nie tak było. Prawdopodobnie goniłem za własnym ogonem, ogonem ciemności, którą w sobie noszę. Czasami go dostrzegałem, doganiałem, chwyciłem, lecz w końcu wypuszczałem w jeszcze głębszą ciemność. Pewnie już nigdy go nie zobaczę.

Dusza Yoshiyi znalazła się teraz w jakimś cichym bezchmurnym miejscu i czasie. Było mu już wszystko jedno, czy ten mężczyzna jest jego prawdziwym ojcem, Bogiem czy niemającym z nim żadnego związku obcym, który stracił gdzieś kawałek prawego ucha. Samo w sobie było to już pewnym objawieniem, rodzajem sakramentu. Czy powinien chwalić Boga?

Wszedł na stanowisko pitchera, stanął na wytartej poduszce i nagle się wyprostował. Splótł palce i wyciągnął ręce prosto nad głową. Nabierając w płuca zimnego nocnego powietrza, jeszcze raz spojrzął na księżyc. Był duży. Dlaczego księżyc jednego dnia wydaje się większy, a innego mniejszy? Po stronie pierwszej i trzeciej bazy postawiono niewielkie drewniane trybuny. Oczywiście w środku nocy w lutym nikogo tu nie było. Tylko trzy rzędy prostych zimnych desek. Za siatką ochronną stał rząd ponurych budynków bez okien – pewnie jakieś magazyny. Nie widział żadnych świateł. Nie słyszał żadnych dźwięków.

Stojąc na wzniesieniu, zaczął zataczać koła ramionami. Do tego rytmicznie wysuwał nogi, to do przodu, to w bok. Dzięki tym tanecznym ruchom powoli się rozgrzał i wróciło mu poczucie, że jest żywym organizmem. Zauważył, że głowa prawie przestała go boleć.

Dziewczyna, z którą chodził przez całe studia, nazywała go Żabą. Podobno gdy tańczył, przypominał żabę. Lubiła tańczyć i często prowadziła go do dyskoteki.

– Masz długie ręce i nogi i tańczysz tak chwiejnie. Ale jesteś strasznie słodki, jak żaba na deszczu – mówiła.

Yoshiyę trochę te słowa zraniły, lecz dalej chodził z dziewczyną i miał wiele okazji do tańca. W pewnym momencie zorientował się, że to polubił. Kiedy w zapamiętaniu poruszał się w takt muzyki, doznawał uczucia, że naturalny rytm jego ciała łączy się z pierwotnym rytmem świata, współgra z nim. Myślał, że prądy morskie, wiatry tańczące na łąkach, obroty gwiazd muszą mieć z nim jakiś związek.

Ta dziewczyna powiedziała, że nigdy nie widziała równie wielkiego penisa. Ujmując go, zapytała Yoshiyę, czy taki duży nie przeszkadza mu w tańcu. Yoshiya odrzekł, że specjalnie mu nie

przeszkadza. Rzeczywiście jego penis był duży. Od dzieciństwa, zawsze był duży. Nie przypominał sobie, żeby miał z tego jakąś korzyść. Wiele razy mu się zdarzyło, że jakaś dziewczyna nie zgadzała się z nim kochać, mówiąc, że jego penis jest za wielki. Nawet z estetycznego punktu widzenia był zbyt duży. Ciężki, bezwładny, wyglądał jakoś głupio i niezręcznie. Yoshiya starał się go ukrywać.

– Twój siusiaczek jest taki duży na znak, że jesteś bożym dzieckiem – mówiła matka z wielkim przekonaniem, a on jej naiwnie wierzył. Ale pewnego razu nagle wszystko wydało mu się bez sensu. Modliłem się o to, żeby złapać wysoką piłkę, a Bóg obdarzył mnie największym członkiem ze wszystkich. Kto to widział taką dziwną zamianę?

Yoshiya zdjął okulary i włożył do futerału. Taniec jest niezły, pomyślał. Niezły. Zamknął oczy i zaczął w samotności tańczyć, czując na powiekach biały blask księżyca. Powoli nabierał i wypuszczał powietrze. Nie przychodziła mu do głowy żadna muzyka pasująca do nastroju, więc tańczył w rytm szumu traw i przepływu chmur. W pewnej chwili wydało mu się, że ktoś go obserwuje. Wyraźnie czuł, że znalazł się w polu czyjegoś widzenia. Czuł to przez skórę, w ciele, w kościach. Ale było mu to obojętne. Jeśli ktoś chce patrzeć, niech sobie patrzy. Wszystko jedno kto. Wszystkie boże dzieci tańczą.

Stawiał kroki, z gracją poruszał ramionami. Jeden ruch sugerował następny, a ten naturalnie łączył się z kolejnym. Jego ciało rysowało wiele kształtów. Taniec miał pewien motyw, wariacje, a także elementy improwizacji. W rytmie zawierał się inny rytm, a między nimi krył się jeszcze jeden, niewidoczny. Yoshiya widział wszystkie ważne punkty tych skomplikowanych połączeń. W lesie kryły się różne zwierzęta jak na obrazach z *trompe l'oeil*. Były wśród nich przerażające bestie, których nigdy przedtem nie widział. Pewnie niedługo będzie musiał przejść przez ten las. Lecz nie bał się. Przecież on jest we mnie. To las, który nadaje mi kształt. To bestie, które noszę w sobie.

Yoshiya nie wiedział, jak długo tańczy. W każdym razie na tyle długo, że spocił się pod pachami. Potem nagle pomyślał o tym, co istnieje na dnie ziemi, po której stąpa. Jest tam złowroźne dudnienie głębokiej ciemności, sekretny ciemny nurt niosący pragnienia, rojowisko lepkich robaków, gniazdo trzęsień ziemi, które zamieniają miasta w rumowiska. One też należą do czynników powodujących, że ziemia się kręci. Przestał tańczyć i starając się uspokoić oddech, spojrzął na ziemię pod stopami, jakby chciał zajrzeć do głębokiej dziury.

Pomyślał o matce w dalekim, zrujnowanym mieście. Co by się stało, gdybym mógł cofnąć czas i spotkać się z nią w okresie, kiedy jej dusza błąkała się jeszcze w gęstej ciemności? Pewnie tarzalibyśmy się w biocie, przywarlibyśmy do siebie ciasno, pochłanialibyśmy się nawzajem i ponieśliśmy surową karę. Ale co z tego? Powinienem już wcześniej ponieść karę. Miasto powinno było zaważyć się wokół mnie.

Po studiach dziewczyna powiedziała, że chce za niego wyjść.

– Chcę za ciebie wyjść, Żabo. Chcę z tobą żyć i urodzić twoje dziecko. Chłopca, który będzie miał takiego dużego siusiaczka jak ty.

– Nie mogę się z tobą ożenić – odparł Yoshiya. – Przedtem nie miałem okazji ci powiedzieć, że jestem bożym dzieckiem. Dlatego nie mogę się z nikim ożenić.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Yoshiya. – Przykro mi.

Yoshiya przykucnął i nabrał garść piasku. Przesiał go przez palce. Powtórzył to kilka razy. Czując w dłoni zimne nierówne grudki ziemi, przypominał sobie, jak ostatni raz uściśnął wychudłą rękę pana Tabaty.

– Yoshiya, ja już długo nie pożyję – powiedział pan Tabata ochryłym głosem. Yoshiya próbował zaprzeczyć, lecz pan Tabata pokręcił w milczeniu głową.

– To nie szkodzi. Życie na tym świecie to tylko przelotny bolesny sen, a ja dzięki łasce Pana jakoś dotarłem aż dotąd. Ale przed śmiercią muszę ci coś powiedzieć. Bardzo się wstydzę o tym mówić, lecz muszę. Chodzi o to, że ja wielokrotnie miałem grzeszne myśli o twojej matce. Jak wiesz, mam rodzinę i kocham ją z całego serca. Co więcej twoja matka to człowiek o czystym sercu. Mimo to moje serce gwałtownie pragnęło jej ciała. Nie mogłem odegnąć tych myśli. Chciałem cię za to przeprosić.

Nie ma za co przepraszać, nie pan jeden miał grzeszne myśli. Nawet mnie, jej syna, do dziś prześladują niestosowne wizje, chciał wyznać Yoshiya, ale to pewnie jeszcze bardziej zakłopotałoby pana Tabatę. W milczeniu ujął jego dłoń i długo trzymał w uścisku. Próbował tej ręce przekazać uczucia kłębiące się w jego sercu. Nasze serca nie są z kamienia. Kamienie mogą kiedyś rozsypać się w proch. Mogą stracić kształt. Ale serca się nie rozsypują. Są pozbawione kształtu, możemy je sobie wiecznie przekazywać, czy są dobre czy złe. Wszystkie boże dzieci tańczą. Następnego dnia pan Tabata odszedł z tego świata.

Przykucnięty na wzniesieniu pitchera, Yoshiya poddał się upływowi czasu. Z oddali dobiegł słaby odgłos syreny karetki pogotowia. Powiał wiatr, poruszył źdźbłami trawy, pochwalił ich muzykę i ucichł.

– Boże – powiedział Yoshiya.

**Tajlandia**  
Tairando



Rozległ się głos stewardesy.

– Samolot znajdował się obecnie w strefą silną turbulencją, prosimy wszyscy pasażerowie powrócić na miejsca i zapinać pasy. – Satsuki siedziała pogrążona w myślach, więc minęło trochę czasu, zanim odcyfrowała znaczenie tej wiadomości podanej w bardzo niepewnej japońszczyźnie tajskiej stewardesy.

*Samolot znajduje się obecnie w strefie silnych turbulencji, więc prosimy wszystkich pasażerów o powrót na miejsca i zapięcie pasów.*

Satsuki była spocona. Strasznie gorąco. Zupełnie jakby gotowała się na parze. Całe ciało płonęło. Miała wrażenie, że nie znieśie dłużej ucisku nylonowych rajstop i stanika. Chciałabym wszystko z siebie zrzucić, uwolnić się, pomyślała. Podniosła głowę i rozejrzała się dookoła, lecz zdawało się, że jedynie jej jest gorąco. Inni pasażerowie business class spali skuleni pookrywani kocami, chroniąc się przed zimnym powiewem klimatyzacji. To pewnie uderzenie krwi do głowy. Satsuki przygryzła wargi. Postanowiła skupić uwagę na czymś innym i zapomnieć o gorącu. Otworzyła książkę, którą przed chwilą czytała, i wróciła do lektury. Ale oczywiście nie udało się zapomnieć, że jest jej gorąco. To nie było zwykle gorąco. Do lądowania w Bangkoku zostało jeszcze dużo czasu. Poprosiła przechodzącą stewardesę o wodę. Wyjęła z torebki pudełko i połknęła tabletkę hormonalną, o której wcześniej zapomniała.

Po raz kolejny pomyślała, że menopauza musi być ironicznym ostrzeżeniem (albo wyrazem złościwości) Boga dla ludzkości, która niesfornie zbyt wydłużyła sobie życie. Jeszcze niewiele ponad sto lat temu przeciętna długość życia nie sięgała nawet pięćdziesiątki, a kobiety żyjące dwadzieścia czy trzydzieści lat po ustaniu miesiączki należały do rzadkości. To, że męką jest być uwięzionym w ciele, w którym jajniki i tarczyca przestały normalnie wydzielać hormony, albo że możliwy jest związek pomiędzy zmniejszeniem ilości estrogenu po ustaniu menstruacji a chorobą Alzheimera, nie spędzało nikomu snu z powiek. Większość ludzi martwiła się głównie o to, żeby mieć co do garnka włożyć. Z tego punktu widzenia rozwój medycyny jedynie zwiększył liczbę problemów, z którymi boryka się ludzkość, podzielił je na różne kategorie i skomplikował.

Niedługo znowu rozległ się komunikat, tym razem po angielsku:

– Jeżeli jest wśród pasażerów lekarz, prosimy o zgłoszenie się do stewardesy.

Ktoś z pasażerów musiał zachorować. Satsuki zamierzała się zgłosić, lecz po krótkim zastanowieniu zrezygnowała. Dwa razy zgłosiła się kiedyś w podobnych sytuacjach i w obu przypadkach musiała konkurować z innymi lekarzami lecącymi tym samym samolotem. Lekarze na co dzień przyjmujący pacjentów mieli w sobie spokój starszych rangą oficerów dowodzących na froncie i potrafili na pierwszy rzut oka rozpoznać specjalistów patologów jak Satsuki, którzy nie mieli doświadczenia na polu walki.

– Wszystko w porządku. Myślę, że sam sobie poradzę. Niech pani sobie odpocznie – mówili z chłodnym uśmiechem. Satsuki wracała na swoje miejsce, mamrocząc głupie usprawiedliwienia, i oglądała dalszy ciąg jakiegoś beznadziejnego filmu.

Ale może prócz mnie nie ma w tym samolocie żadnego innego lekarza? Albo ten pacjent ma poważny problem związany z funkcją odpornościową tarczycy? W takim przypadku – choć prawdopodobieństwo raczej nie jest duże – nawet ktoś taki jak ja może się przydać. Odetchnęła głęboko i wcisnęła guzik wzywający stewardesę.

Światowa konferencja endokrynologiczna odbywała się przez cztery dni w hotelu Marriott w Bangkoku. Przypominała raczej zjazd krewnych z całego świata, a nie konferencję. Wszyscy uczestnicy byli lekarzami specjalizującymi się w chorobach tarczycy, większość się znała, a ci,

k którzy się nie znali, byli sobie przedstawiani. Jest to niewielka grupa. W dzień wygłaszano referaty i odbywały się dyskusje panelowe, a wieczorem urządzano prywatne przyjęcia. Zbierali się przyjaciele, ludzie odnawiali stare znajomości. Pili australijskie wina, rozmawiali o tarczycy, szeptem wymieniali plotki i informacje o tym, kto i gdzie dostał pracę, opowiadali okropne dowcipy zrozumiałe tylko dla lekarzy i śpiewali w barze karaoke *Surfer Girl* Beach Boysów.

Podczas konferencji Satsuki trzymała się głównie z grupą znajomych z czasów pobytu w Detroit. Z nimi czuła się najswobodniej. Spędziła prawie dziesięć lat w klinice uniwersyteckiej w Detroit, prowadząc badania nad funkcją odpornościową tarczycy. W tym okresie popsuły się jej stosunki z mężem – Amerykaninem zajmującym się analizą kursów obligacji. Z roku na rok coraz bardziej uzależniał się od alkoholu, a do tego miał inną kobietę. Satsuki dobrze ją знаła. Najpierw zamieszkali oddzielnie i przez rok ciągnęły się zażarte spory z udziałem adwokatów.

– Decydujące było to, że nie chciałaś mieć dziecka – podkreślał jej mąż.

Trzy lata temu w końcu doszli do porozumienia i orzeczono rozwód, lecz w kilka miesięcy później ktoś wybił szyby w jej hondzie accord zaparkowanej przed szpitalem. Na masce białymi literami napisano JAP CAR. Satsuki wezwała policję. Czarnoskóry potężnie zbudowany policjant wypełnił zgłoszenie o przestępstwie, a potem powiedział:

– Pani doktor, to jest Detroit. Niech pani sobie kupi forda taurusa.

Wskutek tych i innych wydarzeń Satsuki miała dosyć mieszkania w Ameryce i postanowiła wrócić do Japonii. Znalazła etat w klinice uniwersyteckiej.

– Długoletnia praca wreszcie przynosi owoce. Nie możesz wyjechać – zatrzymywał ją kolega z laboratorium, Hindus, z którym prowadziła badania. – Jak dobrze pójdzie, zostaniemy nominowani do Nagrody Nobla. To całkiem możliwe. – Lecz Satsuki nie zmieniła decyzji. Coś w niej pękło.

Po zakończeniu konferencji została dłużej w hotelu w Bangkoku.

– Udało mi się teraz wziąć urlop, więc pojedę sobie na tydzień do tutejszego kurortu i rozprostuję kości – powiedziała wszystkim. – Będę czytała, pływała, piła nad basenem zimne cocktaile.

– Masz szczęście – odpowiadali wszyscy. – W życiu potrzebny jest też relaks. To dobrze robi także na tarczycę. – Pożegnali się, wymieniając uściski dłoni, obejmując się i obiecując sobie nawzajem, że niebawem znów się spotkają.

Następnego dnia wcześniej rano pod hotel podjechał zamówiony elegancki samochód. Był to stary model mercedesa tak wypucony, że lśnił jak brylant. Nie miał ani jednej plamki, był piękniejszy od nowego. Zdawał się nierzeczywisty, jakby był sennym marzeniem. Kierowcą a zarazem przewodnikiem był szczupły Taj. Musiał być po sześćdziesiątce. Miał na sobie śnieżnobiałą wykrochmaloną koszulę z krótkim rękawem, czarny jedwabny krawat oraz ciemne okulary przeciwsłoneczne. Był opalony i miał bardzo długą chudą szyję. Podeszedł do Satsuki i zamiast uścisnąć jej dłoń na powitanie, złożył ręce przed sobą i pochylił głowę, jak było w zwyczaju w Japonii, w lekkim ukłonie.

– Nazywam się Nimit. Przez tydzień będę miał przyjemność towarzyszyć pani doktor.

Nie wiedziała, czy Nimit to jego imię, czy nazwisko. W każdym razie tak się nazywał. Mówił bardzo grzeczną zrozumiałą angielszczyzną. Jego akcent nie był ani znanym jej leniwym amerykańskim, ani pretensjonalnym modulowanym brytyjskim. A raczej prawie nie mogła dosłyszeć akcentu. Kiedyś zetknęła się już z taką angielszczyzną, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

– Bardzo mi miło – odpowiedziała.

Przejechali przez gorące, wulgarne, gwarne i zanieczyszczone centrum Bangkoku. Były korki,

ludzie wymyślali sobie, klaksony przecinały powietrze jak syreny sygnalizujące nalot. Do tego środkiem ulicy szły słonie. Nie jeden czy dwa, a wiele.

– Co właściwie słonie robią w mieście? – zapytała Nimita.

– Ludzie ze wsi sprowadzają do Bangkoku coraz więcej słoni – wyjaśnił uprzejmie. – Przedtem używali ich przy wyrębie lasów. Ale nie mogą się z tego utrzymać, więc sprowadzają je do miasta. Słonie pokazują sztuczki, a oni wyciągają pieniądze od zagranicznych turystów. W rezultacie wzrosła liczba słoni w mieście i są udręką dla mieszkańców. Zdarza się, że się czegoś przestraszą i zaczynają biec. Ostatnio zniszczyły w ten sposób wiele samochodów. Oczywiście policja próbuje utrzymać porządek, lecz nie mogą odebrać słoni właścicielom. I tak nie mieliby gdzie ich podziać, a poza tym karmienie kosztowałoby fortunę. Dlatego muszą je zostawić w spokoju.

W końcu samochód wydostał się z miasta, wjechał na autostradę i ruszył prosto na północ. Nimit wyjął ze schowka taśmę, włożył do magnetofonu i włączył. Z głośników dobiegł cichy jazz. Melodia, którą Satsuki pamiętała z dawnych czasów.

– Czy mógłbyś podkręcić muzykę? – zapytała.

– Oczywiście – odparł Nimit i zrobił głośniejsze. Było to *I Can't Get Started*. To samo wykonanie, którego kiedyś słuchała. – Howard McGhee na trąbce, Lester Young na saksofonie tenorowym – wyszeptała Satsuki do siebie. – Z koncertu z serii *Jazz at the Philharmonic*.

Nimit spojrzał na nią we wstecznym lusterku.

– Pani doktor świetnie zna się na jazzie! Lubi pani jazz?

– Ojciec był jego wielkim miłośnikiem. W dzieciństwie często kazał mi słuchać płyt. Wiele razy puszczał ten same kompozycje i kazał mi zapamiętywać nazwiska wykonawców. Jeżeli się nie pomyliłam, dawał mi cukierka. Dlatego ciągle jeszcze pamiętam. To był stary jazz, więc w ogóle nie znam nowych wykonawców. Lionel Hampton, Bud Powell, Earl Hines, Harry Edison, Buck Clayton...

– Ja też słucham tylko starych nagrań. A czym się zajmował pani ojciec?

– Również był lekarzem. Pediatrą. Ale zmarł niedługo po tym, jak poszłam do liceum.

– Bardzo mi przykro. Czy jeszcze słucha pani jazzu?

Satsuki potrząsnęła głową.

– Już od bardzo dawna nie słucham regularnie. Człowiek, za którego wyszłam za męża, nie lubił jazzu. Z muzyki słuchał praktycznie tylko oper. Mieliśmy w domu wspaniały zestaw urządzeń stereo, ale kiedy nastawiałam coś prócz opery, po prostu się krzywił. Maniacy operowi to chyba najbardziej ograniczeni umysłowo ludzie. Rozstałam się z nim i mogę już nigdy nie usłyszeć muzyki operowej, nie będzie mi jej brakowało.

Nimit lekko skinął głową, lecz się nie odezwał. W milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w drodze przed sobą, prowadził mercedesa. Prowadził pięknie – jego dłonie spoczywały zawsze w tych samych miejscach na kierownicy, przesuwały się jednocześnie, a odległość między nimi się nie zmieniała. Teraz z magnetofonu dobiegała inna pamiętana z dzieciństwa melodia – *Remember April* Errolla Garnera. *Concert By the Sea* był ulubioną płytą ojca. Satsuki zamknęła oczy i zatopiła się we wspomnieniach. Wszystko w jej życiu dobrze się układało, dopóki ojciec nie umarł na raka. Nigdy nie zdarzało się nic złego. Aż niespodziewanie na scenie zgasły światła i wszystko ruszyło w złym kierunku. Zupełnie jakby życie zaczęło się rozgrywać według zupełnie innego scenariusza. Nie minął nawet miesiąc od śmierci ojca, kiedy matka pozbyła się kolekcji płyt jazzowych i wielkiego zestawu stereo.

– Z jakiego miasta w Japonii pani doktor pochodzi?

– Z Kioto. Mieszkałam w Kioto do osiemnastego roku życia, lecz od tego czasu prawie tam nie

bywam.

– Czy przypadkiem Kioto nie jest blisko Kobe?

– Nie jest daleko, ale również nie tuż obok. W każdym razie przynajmniej zniszczenia po trzęsieniu ziemi podobno były niewielkie.

Nimit przejechał na lewy pas, bez trudności wyprzedził rząd ciężarówek załadowanych bytłem i wrócił na prawy.

– Bardzo się cieszę. Wiele osób zginęło tam w zeszłym miesiącu. Widziałem w wiadomościach. To bardzo smutne. Nie miała pani doktor znajomych w Kobe?

– Nie. Chyba nikt z moich znajomych nie mieszka w Kobe – odparła Satsuki, lecz nie była to prawda. W Kobe mieszkał tamten mężczyzna.

Nimit zamilkł na pewien czas. Potem odwrócił lekko głowę w jej stronę i powiedział:

– Jednak trzęsienie ziemi to przedziwna rzecz. Jesteśmy przekonani, że ziemia pod naszymi stopami jest twarda i nieruchoma. Mówi się przecież, że ktoś „mocno stoi nogami na ziemi”. Aż pewnego dnia nagle uświadamiamy sobie, że tak nie jest. Ziemia, skała, która powinna być niewzruszona, staje się płynna jak gęsta ciecz. Tak podawali w wiadomościach. Chyba mówili, że przechodzi w stan ciekły. Na szczęście w Tajlandii prawie nie ma dużych trzęsień ziemi.

Satsuki zamknęła oczy, opierając się wygodnie o siedzenie. W milczeniu przysłuchiwała się grze Errolla Garnera. Mam nadzieję, że tamten mężczyzna został przywalony czymś ciężkim i twardym, zgnieciony na miazgę. Albo wpadł w szczelinę w płynnej ziemi i został pochłonięty. Tego właśnie pragnęłam przez długie lata.

W południe Nimit zatrzymał się na odpoczynek na stacji benzynowej przy autostradzie. Satsuki wypila w barku kawę, w której pływały fusy, i zjadła pół słodkiego pączka. Na miejsce dojechali o trzeciej. Miała spędzić tydzień w luksusowym hotelu w górskim kurorcie. Budynki postawiono tak, by można było z okien podziwiać płynący doliną górski potok. Zbocze pokrywały piękne bajecznie kolorowe kwiaty, ptaki ćwierkały wysokimi głosami i przelatowały z drzewa na drzewo. Dla Satsuki zarezerwowano oddzielny domek. Miał dużą jasną łazienkę, łóżko z eleganckim baldachimem, room service działający przez dwadzieścia cztery godziny. W hallu była biblioteka, w której można było wypożyczać książki, płyty kompaktowe i filmy na wideo. Wszystko było czyste, zadbane i kosztowne.

– Pani doktor, dzisiaj na pewno jest pani zmęczona długą podróżą. Proszę spokojnie wypocząć. Jutro o dziesiątej przyjadę po panią. Zawiozę panią na basen. Proszę tylko przygotować ręcznik i kostium kąpielowy – powiedział Nimit.

– Na basen? Przecież w tym hotelu jest podobno duży basen.

– Basen hotelowy jest zatłoczony. Pan Rappaport mówił, że pani doktor jest pływakiem z prawdziwego zdarzenia, więc znalazłem w pobliżu basen, na którym można pływać po torach. Jest opłata za wstęp, ale symboliczna. Sądzę, że na pewno się tam pani spodoba.

John Rappaport, jej amerykański kolega, zorganizował ten urlop w Tajlandii. Od czasów reżimu Czerwonych Khmerów jeździł po całej Azji Południowo-Wschodniej jako specjalny korespondent gazety i miał znajomości w Tajlandii. To on polecił jej Nimita, który oferował usługi jako kierowca i jednocześnie przewodnik. „Nie musisz się o nic martwić. Zдай się na tego faceta, Nimita. Wszystko dobrze pójdzie. Ten człowiek nie ma sobie równych” – powiedział Rappaport z szelmowskim błyskiem w oku.

– Dobrze. Zdaję się na ciebie.

– A więc będę o dziesiątej rano.

Satsuki rozpakowała się, wygładziła pogniecione sukienki i spódnice, powiesiła na wieszakach,

potem przebrała się w kostium kąpielowy i poszła na basen. Rzeczywiście, tak jak mówił Nimit, nie dało się w nim porządnie popływać. Miał kształt gruszki, pośrodku znajdował się piękny wodospad, w płytkiej wodzie dzieci grały w piłkę. Zrezygnowała z pływania, położyła się pod parasolem, zamówiła sherry Tio Pepe z perrier i zabrała się do rozpoczętej wcześniej nowej powieści Johna Le Carré. Kiedy zmęczyło ją czytanie, zakryła twarz kapeluszem i zdrzemnęła się. Miała krótki sen o króliku. W niewielkiej klatce siedział drżący królik. Była północ i zdawało się, że królik coś przeczuwa, boi się. Na początku obserwowała go z zewnątrz, lecz nagle się zorientowała, że sama jest królikiem. W mroku majaczyła sylwetka tego czegoś. Po przebudzeniu miała niesmak w ustach.

Wiedziała, że ten mężczyzna mieszka w Kobe. Znała jego adres i telefon. Nigdy nie straciła go z oczu. Zaraz po trzęsieniu ziemi zadzwoniła do niego, ale oczywiście się nie dodzwoniła. Mam nadzieję, że twój dom zmienił się w kupę gruzu, myślała. Że cała rodzina błąka się przy drodze bez grosza przy duszy. Kiedy pomyślę, co zrobiłeś z moim życiem, z tymi dziećmi, które mogłam urodzić, taka kara wydaje się całkowicie zasłużona.

Basen odkryty przez Nimita znajdował się o trzydzieści minut jazdy od hotelu. Po drodze mijało się górę, której zalesiony szczyt zamieszkiwały liczne małpy o szarej sierści. Siedziały wzdłuż drogi i przypatrywały się przejeżdżającym samochodom, jakby przepowiadały ich przyszłość.

Basen znajdował się na terenie tajemniczego ośrodka otoczonego wysokim murem. Prowadziła do niego ciężka żelazna brama. Nimit powiedział przez okno dzień dobry, a strażnik bez słowa otworzył bramę. Żwirowa droga wiodła do starego, kamiennego, piętrowego budynku, za którym znajdował się podłużny basen. Był to lekko podniszczony, lecz porządny dwudziestopięciometrowy basen z trzema torami. Otaczał go trawnik oraz drzewa, woda była czystość i wokoło nie było żywego ducha. Przy basenie stał rząd starych drewnianych leżaków. Panowała cisza, Satsuki zdawało się, że nikogo tu nie ma.

– Jak się pani podoba? – zapytał Nimit.

– Wspaniały – odparła Satsuki. – To jest jakiś klub sportowy?

– Coś w tym rodzaju. Ale z pewnych powodów teraz prawie nikt z niego nie korzysta. Dlatego proszę pływać, ile pani sobie życzy. Wszystko uzgodniłem.

– Dziękuję. Wszystko potrafisz załatwić.

– Jest pani bardzo uprzejma – podziękował ukłonem, lecz jego twarz nic nie wyrażała. Tak nakazywały tradycyjne maniery.

– Tamten domek to przebieralnia, jest toaleta i prysznic. Proszę dowolnie ze wszystkiego korzystać. Ja będę czekał w pobliżu samochodu, więc w razie potrzeby proszę zawołać.

Satsuki od młodości lubiła pływać i kiedy miała czas, chodziła na basen do klubu sportowego. Trener nauczył ją prawidłowych stylów. W wodzie udawało jej się odegnać różne nieprzyjemne wspomnienia. Kiedy długo pływała, czuła się wolna jak ptak szybujący po niebie. Ponieważ dużo się gimnastykowała, nigdy nie miały się jej żadne choroby i praktycznie nic jej nie dolegało. Nie przybrała też niepotrzebnie na wadze. Oczywiście ciało straciło jędrność młodości, szczególnie w okolicy bioder przybyło jej niechcianych kilogramów. Ale nie mogła narzekać. Przecież nie miała zamiaru pozować do reklam. Wyglądam o ponad pięć lat młodziej niż moje rówieśniczki, a to niemałe osiągnięcie, pomyślała.

W południe Nimit na srebrnej tacy przyniósł jej nad basen kanapki i herbatę z lodem. Kanapki z jarzynami i serem były ładnie pokrojone w niewielkie trójkąty.

– To pan je zrobił? – zapytała zdziwiona Satsuki.

Nimit uśmiechnął się lekko.

– Nie, pani doktor, ja nie zajmuję się kuchnią. Zamówiłem je.

Satsuki chciała zapytać u kogo, lecz nie zrobiła tego. Rappaport mówił, że wszystko dobrze pójdzie, jeżeli zda się na Nimita. Nie musi o nic pytać. Kanapki były niezłe. Po posiłku odpoczęła. Słuchając na walkmanie pożyczonej od Nimita taśmy sekstetu Benny Goodmana, czytała książkę. Po południu jeszcze trochę popływała i o trzeciej wrócili do hotelu.

Przez pięć dni powtarzało się dokładnie to samo. Pływała do woli, jadła kanapki z jarzynami i serem, słuchała muzyki i czytała książki. Prócz basenu nigdzie indziej się nie wybrała. Pragnęła całkowicie wypocząć i nie myśleć o niczym.

Zawsze pływała sama. Położony w górach basen musiał być wypełniany wodą czerpaną ze studni, ponieważ była bardzo zimna i w pierwszej chwili Satsuki nieomal zapierało dech. Lecz po przepłynięciu kilku basenów rozgrzewała się i temperatura wody była już w sam raz. Kiedy zmęczyło ją pływanie crawlmem, zdejmowała okulary i odwracała się na plecy. Na niebie unosiły się białe chmurki, na ich tle fruwały ptaki i ważki. Gdybym tylko mogła na zawsze tu zostać, pomyślała Satsuki.

– Gdzie się pan nauczył angielskiego? – zapytała w drodze powrotnej do hotelu.

– Przez trzydzieści trzy lata byłem w Bangkoku kierowcą norweskiego dealera kamieni szlachetnych i zawsze rozmawiałem z nim po angielsku.

No tak, teraz rozumiem, pomyślała Satsuki. Pracowała kiedyś w szpitalu w Baltimore. Jeden z kolegów lekarzy był Duńczykiem i identycznie mówił po angielsku. Poprawna gramatyka, lekki akcent i brak slangu. Ten sposób mówienia był łatwo zrozumiały, sterylny i trochę nudny. Jakie to dziwne – w Tajlandii słyszy angielski w stylu norweskim.

– Mój pracodawca bardzo lubił jazz. Jeżdżąc samochodem, zawsze słuchał nagrań. I dlatego ja, kierowca, też w naturalny sposób polubiłem jazz. Kiedy zmarł trzy lata temu, otrzymałem ten samochód wraz z kasetami. Ta, która teraz gra, to też jedna z nich.

– To znaczy, że po śmierci pracodawcy uniezależniłeś się i zacząłeś pracować jako kierowca i przewodnik dla cudzoziemców?

– Owszem. W Tajlandii jest wielu kierowców przewodników, ale pewnie tylko ja jeden mam na własność mercedesa.

– Na pewno ci ufał.

Nimit długo milczał. Zdawało się, że waha się z odpowiedzią. Potem odezwał się:

– Pani doktor, ja jestem samotny. Nigdy się nie ożeniłem. Przez trzydzieści trzy lata żyłem jak cień tego człowieka. Chodziłem za nim wszędzie i we wszystkim mu pomagałem. Zupełnie jakbym stał się jego częścią. Kiedy się prowadzi takie życie, człowiek stopniowo przestaje sobie zdawać sprawę, czego sam pragnie.

Nimit lekko podkręcił magnetofon. Dobiegał z niego głęboki dźwięk saksofonu tenorowego – solówka.

– Na przykład tak samo jest z tą muzyką. Mówił: „Nimit, wsłuchaj się dobrze w tę muzykę. Starannie śledź linie improwizacji Colemana Hawkinsa. Wyteż słuch i zastanów się, co on ci chce za ich pomocą przekazać. Opowiada o wolnej duszy, która próbuje się wyrwać z piersi. We mnie jest taka dusza i w tobie też. Tutaj! Tu można dosłyszeć jej echo, prawda? Gorący oddech, drżenie serca”. Słuchałem tej muzyki wiele razy, wyteżałem słuch i udało mi się usłyszeć echo duszy. Lecz nie jestem pewien, czy naprawdę słyszałem to na własne uszy. Kiedy jest się z kimś długo i wykonuje się polecenia tej osoby, staje się człowiek z tym kimś jednym ciałem i duszą. Rozumie pani, o czym mówię?

– Chyba tak.

Gdy słuchała Nimita, nagle przyszło jej do głowy, że być może łączył go z pracodawcą związek homoseksualny. Oczywiście było to tylko przypuszczenie podyktowane intuicją. Nie miała ku niemu podstaw. Lecz zdawało jej się, że przy takim założeniu można zrozumieć, co Nimit próbuje powiedzieć.

– Ale ja niczego nie żałuję. Gdybym dostał jeszcze jedno życie, prawdopodobnie postępowałbym tak samo. Zupełnie tak samo. A pani, pani doktor?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia.

Nimit więcej się nie odezwał. Pokonał górę szarych małąp i wrócili do hotelu.

W dzień przed powrotem do Japonii po drodze z basenu do hotelu Nimit zabrał ją do pobliskiej wsi.

– Pani doktor, mam do pani prośbę – powiedział, patrząc na nią we wstecznym lusterku. – Prywatną prośbę.

– Cóż to za prośba?

– Czy mogłaby mi pani poświęcić godzinę? Chciałbym panią zabrać w pewne miejsce.

– Proszę bardzo – odpowiedziała Satsuki. Nie zapytała, co to za miejsce. Już wcześniej zdecydowała, że we wszystkim zdaje się na Nimita.

By dotrzeć do domku owej kobiety, musieli przejechać przez całą wieś. Była to biedna wioska z biednymi domkami. Na zboczu rzędy ciasnych, nieomal zachodzących na siebie pól ryżowych, wychudłe, brudne bydło. Na drodze pełno było kałuż, wszędzie unosił się zapach łajna. Po wiosce włączył się pies ze sterczącym członkiem, z okropnym warkotem przejechał motor 50cc i rozpryskał kałuże na obie strony. Nieomal nagie dzieci stały rządkiem przy drodze i wpatrywały się w przejeżdżający samochód. Satsuki nie mogła się nadziwić, że tak blisko owego luksusowego hotelu znajduje się taka nędzna wioska.

Kobieta była stara. Mogła dobiegać osiemdziesiątki. Jej szerniała skóra przypominała zniszczony popękany zamsz, głębokie zmarszczki jak doliny rozchodziły się po całym ciele. Była zgięta w krzyżu, miała na sobie obwisłą, za dużą sukienkę w kwiaty. Nimit złożył dłonie na powitanie. Staruszka odpowiedziała tym samym gestem.

Usiadły po przeciwnych stronach stołu, Nimit obok nich. Przez pewien czas rozmawiał o czymś ze staruszką. Mimo podeszłego wieku jej głos był pełen wigoru, miała też jeszcze własne zęby. Po chwili staruszka odwróciła się do Satsuki i spojrzała jej w oczy. Miała przenikliwy wzrok. Patrzyła nieruchomo, ani razu nie mrugnęła. Pod jej wzrokiem Satsuki poczuła niepokój, jak małe zwierzątko w ciasnym pomieszczeniu, któremu odcięto drogę ucieczki. Nagle zorientowała się, że jest złana potem. Ciężko oddychała i twarz ją paliła. Chciała wyjąć z torebki pigułkę, ale nie miała wody do popicia. Woda mineralna została w samochodzie.

– Proszę położyć obie ręce na stole – powiedział Nimit. Satsuki posłuchała. Staruszka wyciągnęła rękę i ujęła jej prawą dłoń swoją drobną, lecz silną ręką. Przez jakieś dziesięć minut (a może było to dwadzieścia lub trzydzieści) staruszka bez słowa ścisnęła dłoń Satsuki i wpatrywała się jej w oczy. Satsuki bezsilnie patrzyła na kobietę, czasami lewą ręką ocierała chusteczką pot z czoła. Wkrótce staruszka wzięła głęboki oddech i puściła dłoń Satsuki. Potem odwróciła się do Nimita i przez pewien czas mówiła coś do niego po tajsku. Nimit przetłumaczył jej słowa na angielski.

– Mówi, że w pani ciele jest kamień. Biały twardy kamień. Wielkości piąstki dziecka. Nie wie, skąd się wziął.

– Kamień? – powtórzyła Satsuki.

– Na kamieniu jest coś napisane, ale nie rozumiem, bo to po japońsku. Drobne litery napisane czarnym tuszem. Jest dość stary, więc zapewne nosi go pani w sobie od wielu lat. Musi go pani gdzieś wyrzucić. Inaczej, nawet po pani śmierci, po kremacji, kamień zostanie.

Staruszka zwróciła się do Satsuki i powoli długo coś do niej mówiła. Jej ton wskazywał, że to coś ważnego. Nimit znów przetłumaczył na angielski.

– Niedługo przyśni się pani wielki wąż. Powoli wypełźnie z dziury w ścianie. Zielony wąż, gęsto pokryty łuską. Kiedy wypełźnie na długość około metra, proszę chwycić go za głowę. Musi go pani trzymać, nie wolno wypuścić. Na pierwszy rzut oka wygląda przerażająco, ale jest niegroźny. Dlatego nie wolno się bać. Proszę go chwycić mocno obiema rękami i trzymać ze wszystkich sił, jakby pani życie od tego zależało. Musi go pani trzymać, aż się pani obudzi. Ten wąż połknie kamień. Zapamięta pani?

– Zaraz, o co tu właściwie...

– Proszę powiedzieć, że pani zapamięta – nie ustępował Nimit. Mówił poważnym tonem.

– Zapamiętam.

Staruszka w milczeniu skinęła głową. Potem znów powiedziała coś do Satsuki.

– Ten człowiek nie umarł – przetłumaczył Nimit. – Nawet nie został draśnięty. Być może nie tego sobie pani życzyła, ale to dla pani bardzo pomyślne zrządzenie losu. Proszę być mu wdzięczną.

Staruszka rzuciła do niego parę słów.

– Na tym koniec – powiedział Nimit. – Wracajmy do hotelu.

– Czy to było coś w rodzaju przepowiadania przyszłości? – zapytała Satsuki w samochodzie.

– To nie przepowiadanie przyszłości, pani doktor. Pani leczy ludzkie ciała, a ona leczy serca. Głównie przepowiada sny.

– W takim razie należało jej zapłacić za fatygę. Nie spodziewałam się tego, byłam zaskoczona i wcale o tym nie pomyślałam.

Uważnie kręcąc kierownicą, Nimit pokonywał ostre wiraże górskiej drogi.

– Ja jej wcześniej zapłaciłem. To nieduża kwota, proszę się tym nie martwić. Proszę to uznać za wyraz mojej osobistej sympatii.

– Czy zabierasz tam wszystkich turystów?

– Nie, tylko panią zabrałem.

– Dlaczego?

– Jest pani piękna, pani doktor. Mądra i silna. Ale mam wrażenie, że coś pani zawsze leży na sercu. Musi pani powoli przygotować się na przyjęcie śmierci. Jeżeli będzie pani traciła zbyt wiele sił na życie, nie uda się pani spokojnie umrzeć. Musi pani po trochu zmienić bieg. Trzeba żyć i umieć umrzeć – to rzeczy w pewnym sensie równorzędne, pani doktor.

– Słuchaj, Nimit – odezwała się Satsuki, zdejmując okulary przeciwsłoneczne i wychylając się do przodu ponad siedzeniem pasażera.

– Słucham, pani doktor.

– A ty się przygotowałaś na spokojne przyjęcie śmierci?

– Ja jestem już w połowie martwy, pani doktor – powiedział Nimit, jakby to było oczywiste.

Tej nocy Satsuki płakała w wielkim czystym łóżku. Wiedziała teraz, że powoli zmierza ku śmierci. Wiedziała, że ma w sobie biały twardy kamień. Że gdzieś w ciemności kryje się zielony wąż gęsto pokryty łuską. Myślała o nienarodzonym dziecku. Zniszczyła to dziecko, wrzuciła je do bezdennej studni. I przez trzydzieści lat nienawidziła pewnego mężczyzny. Chciała, żeby umarł w



męczarniach. Dlatego w głębi serca pragnęła nawet trzęsienia ziemi. W pewnym sensie to ja wywołałam to trzęsienie ziemi. Ten mężczyzna zmienił moje serce w kamień, zmienił moje ciało w kamień. W dalekich górach w milczeniu przyglądały jej się szare małpy. „Trzeba żyć i umieć umrzeć – to rzeczy w pewnym sensie równorzędne, pani doktor”.

Po odprawieniu bagażu Satsuki podała Nimitowi kopertę ze studolarówką.

– Dziękuję za wszystko. Dzięki tobie udało mi się spędzić przyjemny urlop. To osobisty prezent ode mnie – powiedziała.

– Dziękuję za życzliwość, pani doktor – odparł Nimit, przyjmując kopertę.

– Wiesz co, Nimit? Masz jeszcze czas, żeby wypić ze mną kawę?

– Z przyjemnością dotrzymam pani towarzystwa.

Weszli do kawiarni i zamówili dwie kawy. Satsuki pita czarną, Nimit wlał do swojej dużo śmietanki. Satsuki długo obracała filiżankę na spodku.

– Prawdę mówiąc, mam sekret, którego jeszcze nigdy nikomu nie wyjawiałam – zaczęła. – Nie mogłam o tym mówić. Sama z tym żyłam. Ale chciałabym dziś powiedzieć tobie. Dlatego że już pewnie nigdy cię nie zobaczę. Po nagiej śmierci mego ojca, matka, wcale się mnie nie radząc...

Nimit podniósł dłonie jakby obronnym gestem i zdecydowanie potrząsnął głową.

– Pani doktor, proszę panią bardzo, proszę mi nic więcej nie mówić. Nie wolno. Tak jak mówiła ta kobieta, proszę poczekać na ten sen. Wiem, co pani czuje, ale wypowiedziane na głos wszystko stanie się kłamstwem.

Satsuki umilkła i zamknęła oczy. Odetchnęła głęboko.

– Proszę czekać na ten sen, pani doktor – powtórzył Nimit łagodnie, jakby chcąc ją przekonać. – Teraz musi pani wytrzymać. Proszę odrzucić słowa. Słowa stają się kamieniami.

Wyciągnął rękę i w milczeniu ujął dłoń Satsuki. Miał zadziwiająco gładkie młode dłonie. Zupełnie jakby zawsze chronił je, nosząc rękawiczki w świetnym gatunku. Satsuki otworzyła oczy i spojrzała na niego. Nimit puścił jej dłoń i splótł ręce na stole.

– Mój norweski pracodawca pochodził z Laponii – powiedział. – Pewnie pani wie, że to najbardziej na północ wysunięta część Norwegii. Niedaleko bieguna północnego. Jest tam wiele reniferów. W lecie nie ma nocy, zimą nie ma dnia. Pewnie przyjechał do Tajlandii, uciekając przed zimnem. W każdym razie to miejsce jest pełnym przeciwieństwem Tajlandii. Kochał mój kraj i zdecydował, że chce być tutaj pogrzebany. Lecz do ostatniej chwili tęsknił za miasteczkiem w Laponii, w którym się urodził. Często mi opowiadał o tym niewielkim miasteczku. A mimo to przez trzydzieści trzy lata ani razu nie wrócił do Norwegii. Musiał mieć ku temu jakieś specjalne powody. On też nosił w sobie kamień.

Nimit podniósł filiżankę, wypił łyk kawy, a potem ostrożnie bezgłośnie odstawił ją na spodeczek.

– Kiedyś opowiedział mi o niedźwiedziach polarnych. O tym, jakie to samotne stworzenia. Kopulują tylko raz w roku. Tylko raz w roku. Samce i samice nie dobierają się u nich w pary. Na zmarzniętym lądzie przypadkowo spotykają się polarny niedźwiedź z polarną niedźwiedzicą i kopulują. Niezbyt długo. Kiedy skończą, niedźwiedź, jakby się czegoś obawiając, zeskakuje z samicy i ucieka z tego miejsca. Dosłownie znika w mgnieniu oka, nawet się za siebie nie oglądając. Potem przez cały rok wszystkie żyją w głębokiej samotności. Nie istnieje między nimi wzajemne porozumienie. Nie ma żadnych bliższych stosunków. Takie jest życie niedźwiedzi polarnych. A przynajmniej tak twierdził mój pracodawca.

– To zadziwiająca historia – powiedziała Satsuki.

– Rzeczywiście. Zadziwiająca historia – potwierdził Nimit, patrząc na nią poważnie. – Ja go

wtedy zapytałem: „To po co one w ogóle żyją?”. Uśmiechnął, jakby się ze mną w pełni zgadzał, i odpowiedział pytaniem: „Słuchaj, Nimit. A po co my w ogóle żyjemy?”.

Zgasł napis: „Proszę zapiąć pasy”. Oto znowu wracam do Japonii, pomyślała Satsuki. Próbowała się zastanowić, co ją dalej czeka, lecz zrezygnowała. Nimit powiedział, że „słowa stają się kamieniami”. Usiadła wygodniej i zamknęła oczy. Przypomniała sobie, jaki kolor miało niebo, kiedy leżała na plecach w basenie. Przypomniała sobie melodię *I'll Remember April* w wykonaniu Errolla Garnera. Prześpię się. Na razie się prześpię. I poczekam na ten sen.

**Pan Žaba ratuje Tokio**  
Kaeru-kun, Tōkyō-o sukuu

Po powrocie z pracy Katagiri zastał w domu ogromną żabę. Gdyby stała na tylnych nogach, mierzyłaby ponad dwa metry. Do tego była dobrze zbudowana. Mający zaledwie metr sześćdziesiąt, chudy i drobny Katagiri poczuł się onieśmielony tą imponującą posturą.

– Jestem Żaba. Może pan się tak do mnie zwracać – odezwała się żaba donośnym, męskim głosem.

Katagiri zaniemówił. Otworzył usta i stał w progu jak skamieniały.

– Nie musi się pan obawiać. Nie zrobię panu nic złego. Niech pan wejdzie i zamknie drzwi – powiedział Żaba.

Katagiri stał dalej w progu, w prawej ręce trzymając teczkę z dokumentami z pracy, a w lewej papierową torbę z supermarketu, w której były jarzyny oraz łosoś w puszcze. Nie mógł się poruszyć.

– No, panie Katagiri, niech pan szybko zamknie drzwi i zdejmie buty<sup>[3]</sup>.

Na dźwięk swojego nazwiska Katagiri wreszcie oprzytomniał. Posłusznie zamknął drzwi, postawił torbę z zakupami na podłodze i ciągle trzymając teczkę pod pachą, zdjął buty. Usiadł na wskazanym przez Żabę krześle przy kuchennym stole.

– Bardzo przepraszam, że pozwoliłem sobie wejść do mieszkania pod pana nieobecność. Na pewno się pan przestraszył. Lecz nie miałem innego wyjścia. Może napije się pan herbaty? Zagotowałem wodę, spodziewając się, że pewnie niedługo pan wróci.

Katagiri dalej ścisnął pod pachą teczkę. To chyba jakiś żart? Ktoś przebrał się i drwi sobie ze mnie. Jednak nalewający wrzątku do czajniczka i nucący coś pod nosem Żaba zachowywał się i wyglądał jak prawdziwa żaba. Postawił jedną czarbkę przed Katagirim, a drugą przed sobą.

– Uspokoił się pan trochę? – zapytał, popijając herbatę.

Katagiri nadal nie mógł wykrztusić słowa.

– Powinienem był się z panem wcześniej umówić – powiedział Żaba. – Zdaję sobie z tego sprawę. Każdy by się przestraszył, gdyby po powrocie zastał w domu wielką żabę. Ale mam do pana bardzo ważną i pilną sprawę, więc proszę mi wybaczyć to najście.

– Sprawę? – udało się w końcu wyjąkać Katagiriemu.

– Tak, proszę pana. Przecież nie mając żadnej sprawy, nie wchodziłbym bez pozwolenia do mieszkania nieznanegoj osoby. Nie jestem aż tak źle wychowany.

– Czy ta sprawa ma związek z moją pracą?

– I tak, i nie – odparł Żaba, przechylając głowę.

– I nie, i tak.

Muszę zachować spokój, myślał Katagiri.

– Czy mogę zapalić?

– Naturalnie, naturalnie – odpowiedział Żaba z uśmiechem. – Przecież jest pan u siebie! Nie musi pan mnie pytać o pozwolenie. Proszę sobie palić i pić, kiedy tylko ma pan ochotę. Ja osobiście nie palę, ale nigdy nie posunąłbym się do tego, żeby komuś w jego własnym domu zabraniać palenia.

Katagiri wyjął papierosy z kieszeni płaszczka i zapalił zapałkę. Kiedy przytknął ją do papierosa, zauważył, że drży mu ręka. Siedzący naprzeciwko Żaba przyglądał się jego poczynaniom z wielkim zainteresowaniem.

– Czy przypadkiem nie jest pan związany z jakąś mafią? – zdecydował się zapytać Katagiri.

– Cha, cha, cha – roześmiał się Żaba. Był to głośny wesoły śmiech. Klepnął się w kolano błoniastą ręką. – Ależ ma pan poczucie humoru! Nawet biorąc pod uwagę to, że dziś trudno o wykwalifikowanych pracowników, jakaż mafia zatrudniłaby żabę? Przecież stałaby się pośmiewiskiem.

– Jeżeli przyszedł pan w sprawie negocjowania warunków zwrotu pożyczki, nic z tego nie

będzie – powiedział Katagiri zdecydowanie. – Ja sam nie mam prawa podjąć żadnej decyzji. Podporządkowuję się tylko decyzjom z góry i wykonuję rozkazy. Więc do niczego się panu nie przydam.

– Proszę pana – odparł Żaba, podnosząc ostrzegawczo palec. – Nie przyszedłem tu w sprawie takiej drobnostki. Wiem, że jest pan asystentem kierownika działu pożyczek w oddziale banku Tokyo Security Trust w Shinjuku. Ale moja sprawa nie ma żadnego związku ze spłatą długów. Przyszedłem tu, aby uratować Tokio przed zniszczeniem.

Katagiri rozejrzał się dookoła. Może stał się obiektem dobrze zorganizowanego głupiego dowcipu? Może ktoś kręci ukrytą kamerą? Lecz nigdzie jej nie zauważył. W niewielkim mieszkaniu nie było się też gdzie ukryć.

– Nikogo prócz nas tu nie ma. Pewnie myśli pan, że zwariowałem. Albo że to sen na jawie. Ale ja nie jestem szalony ani to nie jest sen na jawie. To niezwykle poważna sprawa.

– Panie Żaba – zaczął Katagiri.

– Żabo – sprostował Żaba, znów podnosząc palec.

– Żabo – poprawił się Katagiri. – Nie chodzi o to, że panu nie ufam. Po prostu jeszcze nie w pełni orientuję się w sytuacji. Nie mogę zrozumieć, co się tu teraz dzieje. Czy mogę zadać kilka pytań?

– Naturalnie, naturalnie – odparł Żaba. – Wzajemne zrozumienie jest bardzo ważne. Niektórzy twierdzą, że zrozumienie to jedynie suma wszystkich nieporozumień. Uważam to za niezwykle interesujący punkt widzenia, lecz, niestety, w chwili obecnej czas nie pozwala nam na przyjemne pogawędki i dygresje. Najlepiej będzie, jeżeli uda nam się przejść od razu do sedna. Dlatego proszę pytać, ile pan sobie życzy.

– Jest pan prawdziwą żabą, tak?

– Oczywiście, jak sam pan widzi, jestem prawdziwą żabą. Nie jestem metaforą, cytatem, dekonstrukcją, próbką ani niczym równie skomplikowanym. Jestem autentyczną żabą. Może zarechotać?

Podniósł głowę, a jego szyja gwałtownie się poruszyła. Rozległ się ogłuszający dźwięk: „Rech, rech, rech. Rech, rech, rech”. Wiszący na ścianie obraz zadrżał, przekrzywił się.

– Rozumiem – powiedział pospiesznie Katagiri. Mieszkał w byle jakim bloku o cienkich ścianach. – Wystarczy. Rzeczywiście jest pan autentyczną żabą.

– Można też powiedzieć, że jestem sumą wszystkich żab. Ale nawet to nie zmienia faktu, że jestem żabą. Każdy, kto temu zaprzecza, jest perfidnym kłamcą. Rozetrę go na proch!

Katagiri skinął głową. Chcąc się uspokoić, podniósł czarkę i wypił łyk herbaty.

– Powiedział pan, że chce uratować Tokio przed zniszczeniem, prawda?

– Tak powiedziałem.

– O jakiego rodzaju zniszczenie chodzi?

– O trzęsienie ziemi – odparł Żaba z wielką powagą.

Katagiri gapił się na niego z otwartymi ustami. Żaba zamilkł na dłuższą chwilę. Przyglądali się sobie nawzajem. Potem Żaba odezwał się:

– O bardzo, bardzo wielkie trzęsienie ziemi. Nastąpi w Tokio osiemnastego lutego około pół do dziewiątej rano. Czyli za trzy dni. Prawdopodobnie będzie nawet większe niż trzęsienie ziemi w Kobe w zeszłym miesiącu. Można się spodziewać około stu pięćdziesięciu tysięcy ofiar śmiertelnych. W porannym szczycie zginą tysiące ludzi. Wykolejone pociągi, przewracane autobusy i samochody, karambole... Zniszczone autostrady, zawalone tunele metra, pociągi, które pospadają z wiaduktów, wybuchy cystern. Budynki zmieniają się w sterty gruzu i przywalają ludzi.

Wszędzie wybuchną pożary. Drogi zostaną zniszczone, karetki pogotowia i wozy strażackie staną się bezużyteczne. Ludzie będą umierali bez nadziei na ratunek. Zginie sto pięćdziesiąt tysięcy osób. Istne piekło. Wszyscy na nowo uświadomią sobie, jak niebezpieczne są wielkie skupiska miejskie. – Żaba lekko potrząsnął głową. – Epicentrum będzie się znajdowało tuż obok Urzędu Dzielnicy Shinjuku. To będzie tak zwane trzęsienie pionowe.

– Obok Urzędu Dzielnicy Shinjuku?

– Ściśle mówiąc, dokładnie pod oddziałem banku Tokyo Security Trust w Shinjuku.

Zapadło ciężkie milczenie.

– I pan próbuje zapobiec temu trzęsieniu ziemi?

– Tak, właśnie o to chodzi – przytaknął Żaba. – Zejdziemy razem pod ziemię pod oddziałem banku Tokyo Security Trust w Shinjuku i będziemy walczyć z Dźdźownicą.

Katagiri, jako pracownik działu pożyczek banku Tokyo Security Trust, stoczył już niejedną walkę. Przyszedł do banku zaraz po studiach i od szesnastu lat niezmiennie pracował w tym samym dziale. Był odpowiedzialny za odzyskiwanie długów. Nie było to stanowisko cieszące się popularnością. Każdy wolał pracować przy udzielaniu pożyczek, zwłaszcza w okresie rozkwitu gospodarczego. Pieniądzy było wtedy w bród, więc jeśli klient miał nieruchomości lub papiery wartościowe, które mógł dać w zastaw, pracownicy praktycznie zawsze udzielali pożyczek w żądanej wysokości i byli za to chwaleni. Zdarzało się jednak, że nie można było odzyskać pożyczonych pieniędzy i wtedy w celu załatwienia sprawy nieuregulowanych spłat wysyłano do klienta Katagiriego. Zwłaszcza gdy zaczął się kryzys ekonomiczny, gwałtownie przybyło mu pracy. Najpierw spadły ceny akcji, po nich ceny nieruchomości. W rezultacie zastawy, pod jakie brano pożyczki, traciły wyjściową wartość. „Idź i wydrzyj od nich choć trochę pieniędzy” – padał kategoryczny rozkaz z góry.

Rejon Kabukichō w Shinjuku to jakby labirynt bezprawia. Działają tam istniejące od dawna mafie japońskie, a trafiają się także nowsze organizacje przestępcze z Korei. Jest również mafia chińska. Mnóstwo broni palnej i narkotyków. Wielkie kwoty przepływają z jednego ciemnego interesu do drugiego i nigdy nie zostają oficjalnie ujawnione. Wcale nie należy do rzadkości, że ktoś znika, jakby rozpułnął się w powietrzu. Kilkakrotnie domagając się zwrotu pieniędzy, Katagiri został otoczony przez gangsterów grożących, że go zabiją. Jednak szczególnie się nie bał. Na co zdałoby im się zabicie wysłannika banku? Mogą go zadźgać nożem, mogą zastrzelić. Na szczęście nie miał żony ani dzieci, rodzice też nie żyli. Nie musiał się już zajmować młodszym rodzeństwem, posłał ich na studia, nawet pozenił. Nikomu nie sprawi kłopotu, jeżeli zostanie tu zabity, właściwie sobie samemu również nie sprawi tym specjalnego kłopotu.

Toteż stał w takich sytuacjach spokojnie, w ogóle się nie bojąc, a wtedy otaczający go gangsterzy zaczęli się czuć nieswojo. Dzięki temu dorobił się w ich środowisku reputacji twardziela. A jednak teraz był w kropce. Nie miał pojęcia, co należy zrobić. O co tu właściwie chodzi? Dźdźownica?!

– Kim jest Dźdźownica? – zapytał niepewnie.

– Dźdźownica mieszka w głębi ziemi. Jest ogromny. Kiedy się rozgniewa, wywołuje trzęsienia ziemi – wyjaśnił Żaba. – A teraz jest strasznie rozgniewany.

– A o co jest rozgniewany?

– Nie wiem. Nikt nie wie, jakie ciemne myśli kłębią mu się głowie. Prawie nikt go nie widział. Zwykle pogrążony jest we śnie. W ciemności i ciepłe panującym w głębi ziemi śpi przez wiele, wiele lat. Naturalnie zanikły mu oczy. Podczas snu jego szare komórki zmieniły się w lepki maź i

przerodziły w coś innego. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że on o niczym nie myśli. Sądzę, że tylko czuje napływające z daleka drgania i dudnienia, pochłania je i gromadzi w sobie. I wiele z nich wskutek jakiegoś procesu chemicznego zmienia się w nienawiść. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Żaba przez chwilę w milczeniu przyglądał się Katagiriemu. Czekał, aż dotrą do niego jego słowa. Potem mówił dalej.

– Chciałbym tu uniknąć nieporozumienia, ja osobiście nie czuję do Dżdżownicy niechęci ani wrogości. Nie uważam go też za uosobienie zła. Nie pragnę się z nim zaprzyjaźnić, lecz sądzę, że być może w pewnym sensie na świecie jest miejsce również dla takich stworzeń. Świat jest jak wielki płaszcz i potrzebuje kieszeni o różnych kształtach. Jednakże w tej chwili Dżdżownica jest tak niebezpieczna, że nie trzeba się nią zająć. Nigdy jeszcze jego ciało i serce nie były tak przepełnione różnymi rodzajami nienawiści, które w siebie wchłonał i zmagazynował. Do tego w zeszłym miesiącu trzęsienie ziemi w Kobe wyrwało go niespodziewanie ze smacznego głębokiego snu. Doznał czegoś w rodzaju objawienia wywołanego gniewem. Postanowił, że skoro tak, to on też wywoła trzęsienie ziemi w Tokio. Wiarygodne informacje o terminie i skali trzęsienia otrzymałem od kilku zaprzyjaźnionych owadów. Nie ma żadnych wątpliwości. – Żaba zamknął usta i przymknął oczy, jakby zmęczyło go mówienie.

– I my dwaj zejdziemy razem pod ziemię, stoczymy walkę z Dżdżownicą i zapobiegniemy trzęsieniu ziemi?

– Tak, o to chodzi.

Katagiri podniósł czarękę, potem znów odstawił na stół.

– Nadal nie bardzo rozumiem, dlaczego właśnie mnie wybrał pan na sojusznika.

– Proszę pana – powiedział Żaba, patrząc Katagiriemu prosto w oczy. – Od dawna pana podziwiam. Od szesnastu lat podejmuje się pan niewdzięcznej, niebezpiecznej pracy, której nikt inny nie chciał się podjąć, i wykonuje ją pan bez zarzutu i bez słowa protestu. Wiem, że nie jest to łatwe. Niestety, nie można powiedzieć, że przełożeni i koledzy doceniają pana wysiłki. Gdzie oni mają oczy? Lecz choć nikt pana nie docenia, choć nie awansuje pan, nigdy pan nie narzeka.

Chodzi nie tylko o pracę. Po śmierci rodziców sam zajął się pan wychowaniem kilkunastoletnich brata i siostry, posłał ich pan na studia, dopilnował pan nawet, żeby pozakładali rodziny. Musiał pan na to poświęcić większość wolnego czasu oraz dochodów i przez to sam nie mógł się pan ożenić. Mimo to rodzeństwo nie jest panu wdzięczne za tę pomoc. Wcale nie są wdzięczni. Wręcz przeciwnie, nie szanują pana i ciągle karmią niewdzięcznością. Moim zdaniem to nie do pomyślenia. Mam ochotę im w pana imieniu porządnie przyłożyć. A pana to szczególnie nie gniewa.

Szczerze mówiąc, nie jest pan zbyt przystojny. Ani wymowny. Dlatego zdarza się, że otoczenie pana lekceważy. Ale ja wiem, że jest pan rozsądnym, odważnym człowiekiem. W całym wielkim Tokio nie znalazłbym lepszego sojusznika. Nie ma nikogo równie godnego zaufania.

– Panie Żaba – zaczął Katagiri.

– Żabo – Żaba znów go poprawił, podnosząc palec.

– Żabo, skąd tak dużo pan o mnie wie?

– Nie na darmo od tak dawna jestem żabą. Wiem co nieco o świecie.

– Ale przecież ja nie jestem siłaczem i nie mam pojęcia, co jest w głębi ziemi. Sądzę, że nie starczy mi sił na walkę z Dżdżownicą w zupełnej ciemności. Są ludzie silniejsi ode mnie. Ci na przykład, którzy uprawiają karate, albo komandos.

Żaba przewrócił oczami.

– Panie Katagiri, to ja się podejmę bezpośredniej walki. Ale sam sobie nie poradzę. W tym tkwi sedno sprawy. Potrzebna mi jest pańska odwaga i uczciwość. Musi pan za mną stać i dopingować: „Nie daj się, Żabo! Dobrze idzie! Wygrasz! Racja jest po twojej stronie!”.

Żaba rozłożył ręce, a potem znów klepnął się po kolanach.

– Szczerze mówiąc, ja też się boję walczyć w ciemności z Dżdżownicą. Od dawna jestem pacyfistą kochającym sztukę i żyjącym w zgodzie z naturą. Wcale nie lubię walki. Ale podejmę ją, bo muszę. Na pewno będzie przerażająca. Mogę jej nie przeżyć. Mogę w niej stracić jakąś kończynę. Lecz nie ucieknę. Jak mówi Nietzsche, najwyższą mądrością jest przewyciężenie strachu. Chcę, żeby się pan ze mną podzielił odwagą. Żeby mnie pan wspierał jak przyjaciela. Rozumie pan?

Katagiri nadal bardzo niewiele z tego rozumiał, lecz z jakiegoś powodu wydawało mu się, że może zaufać słowom Żaby, mimo że brzmiały nieprawdopodobnie. Z jego oczu, z jego słów była uczciwość chwytająca za serce. Natychmiastowe wyczuwanie takich rzeczy stało się drugą naturą dla Katagiriego wykonującego najniebezpieczniejszą pracę w banku.

– Każdy na pana miejscu by się wahał, gdyby nagle pojawiła się przed nim wielka żaba i bezczelnie wystąpiła z taką sprawą, prosząc, żeby jej zaufać. Uważam, że to naturalna reakcja. Dlatego postanowiłem dać panu dowód, że naprawdę istnieję. Ostatnio ma pan kłopoty z odzyskaniem pieniędzy od firmy handlowej Higashi Ōkuma, prawda?

– Faktycznie.

– Stoją za nimi jacyś naciągacze mający związki z mafią. Chcą doprowadzić do bankructwa firmy i zlikwidować dług. Tak zwane wykręcanie się od spłaty. Ktoś udzielił pożyczki bez starannego zbadania sytuacji finansowej firmy. Jak zawsze konsekwencje ponosi pan Katagiri. Lecz tym razem przeciwnik jest silny i nie można sobie z nim poradzić. Ukrywa się za nim jakiś wpływowy polityk. Dług wynosi około siedmuset milionów jenów. Czy tak się przedstawia sytuacja?

– Wszystko się zgadza.

Żaba wyciągnął przed siebie ramiona. Duże zielone błony rozpostarły się jak cienkie skrzydełka.

– Proszę pana. Niech się pan nie martwi. Żaba to załatwi. Jutro rano problem będzie rozwiązany. Może pan spać spokojnie.

Żaba wstał, uśmiechnął się i spłaszczony jak bibułka, wyslizgnął się przez szczelinę między framugą a zamkniętymi drzwiami. Katagiri został sam. O niedawnej obecności Żaby świadczyły jedynie dwie czarki na stole.

Kiedy następnego dnia Katagiri przyszedł o dziewiątej do pracy, od razu na biurku odezwał się telefon.

– Panie Katagiri – powiedział męski głos. Brzmiał chłodno i urzędowo. – Nazywam się Shiraoka i jestem prawnikiem reprezentującym firmę handlową Higashi Ōkuma. Dziś rano otrzymałem od klienta wiadomość dotyczącą spornej kwestii spłaty pożyczki. Podobno zamierzają zgodnie z waszymi żądaniami zobowiązać się do spłacenia całej sumy w uzgodnionym terminie. Złożą stosowne oświadczenie. I w związku z tym proszą, żeby pan nie wysyłał już do nich Żaby. Powtarzam: ma pan poprosić Żabę, żeby ich więcej nie nachodził. Ja nie jestem zorientowany we wszystkich szczegółach, ale może pan rozumie, o co chodzi?

– Rozumiem.

– I przekaże pan Żabie to, co powiedziałem?

– Niewątpliwie przekażę Żabie. Więcej się u nich nie pojawi.

– Doskonale. W takim razie na jutro przygotuję oświadczenie.



– Polecam się.

Mężczyzna się rozłączył.

Żaba pojawił się w biurze Katagiriego w czasie przerwy obiadowej.

– No i jak? Sprawa z firmą handlową Higashi Ōkuma zakończyła się pomyślnie, prawda?

Katagiri pospiesznie rozejrzał się dookoła.

– Proszę się nie niepokoić. Nikt prócz pana mnie nie widzi – powiedział Żaba. – No to dzięki temu zrozumiał pan, że naprawdę istnieję. Nie jestem wytworem pańskiej wyobraźni. Działam w rzeczywistym świecie i są efekty tego działania. Naprawdę żyję.

– Panie Żaba – zaczął Katagiri.

– Żabo – skorygował Żaba, podnosząc palec.

– Żabo – poprawił się Katagiri. – Co pan im zrobił?

– Nic wielkiego. Trochę ich przestraszyłem. Zrobiłem coś, co wymaga niewiele więcej zachodu niż gotowanie brukselki. Wywołałem w nich wewnętrzny strach. Jak pisał Joseph Conrad, prawdziwy strach to strach przed własną wyobraźnią. No i jak? Sprawa pomyślnie się zakończyła, prawda?

Katagiri przytaknął i zapalił papierosa.

– Na to wygląda.

– Czy w takim razie uwierzył pan w to, co mówiłem wczoraj wieczorem? Podejmie pan wraz ze mną walkę z Dźdźownicą?

Katagiri westchnął, a potem zdjął i przetaił okulary.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo mam ochotę, ale to pewnie nie znaczy, że uda mi się tego uniknąć.

Żaba skinął głową.

– To kwestia odpowiedzialności i honoru. Nie mamy na to ochoty, lecz musimy zejść pod ziemię i stanąć do walki z Dźdźownicą. Jeżeli przegramy i zginiemy, nikt po nas nie zapłaci. A nawet jeśli nam się powiedzie i pokonamy Dźdźownicę, nikt nas nie pochwali. Bo nikt nie będzie wiedział, że pod ziemią toczyła się taka walka. Będziemy o tym wiedzieli tylko my dwaj. Tak czy inaczej, będzie to walka samotna.

Katagiri przyglądał się przez chwilę swojej ręce i dymowi unoszącemu się z papierosa. Potem przemówił:

– Panie Żaba, ja jestem przeciętny.

– Żabo – poprawił Żaba, lecz Katagiri go zignorował.

– Jestem bardzo przeciętny. Jestem poniżej przeciętnej. Łysieję, rośnie mi brzuch, w zeszłym miesiącu skończyłem czterdzieści lat. Mam płaskostopie, lekarz stwierdził u mnie skłonność do cukrzycy. Ostatni raz spałem z kobietą aż trzy miesiące temu. I była to prostytutka. W moim dziale trochę mnie cenią za odzyskiwanie długów, ale to nie znaczy, że ktoś mnie szanuje. Ani w pracy, ani w życiu prywatnym nikt mnie nie lubi. Jestem małomówny i nieśmiały, więc z nikim nie mogę się zaprzyjaźnić. Moje umiejętności sportowe są równe zeru, nie mam słuchu muzycznego, jestem niski, mam zwężenie napletka i jestem krótkowidzem. Mam nawet lekki astygmatyzm. Straszne życie. Tylko śpię, wstaję, jem i sram. Nie jestem nawet pewien, po co w ogóle żyję. Dlaczego ktoś taki jak ja ma ratować Tokio?

– Panie Katagiri – powiedział Żaba uroczyście. – Tylko ktoś taki jak pan może uratować Tokio. I ja chcę uratować Tokio właśnie dla takich ludzi jak pan.

Katagiri jeszcze raz westchnął głęboko.

– No to co ja mam właściwie zrobić?

Żaba przedstawił mu swój plan. O północy siedemnastego lutego (czyli dzień przed przewidywanym trzęsieniem) zejda pod ziemię. Wejście znajduje się w kotłowni pod oddziałem banku Tokyo Security Trust w Shinjuku. Za jedną ze ścian jest szyb. Zejda pięćdziesiąt metrów po drabinie sznurowej i dotrą do miejsca, w którym mieszka Dżdżownica. Spotkają się o północy w kotłowni (Katagiri zostanie w budynku pod pozorem pracy po godzinach).

– Czy obmyślił pan jakąś strategię walki? – zapytał Katagiri.

– Obmyśliłem. Z nikim nie da się wygrać bez odpowiedniej strategii. Szczególnie z oślizgłym stworzeniem wielkości wagonu kolejowego, u którego nie można odróżnić otworu gębowego od odbytu.

– Na czym opiera się ta strategia?

Żaba zamyślił się na chwilę.

– Milczenie jest złotem.

– To znaczy: lepiej, żebym nie wiedział?

– Można to i tak ująć.

– A co pan robi, Panie Żaba, jeżeli mnie w ostatniej chwili ogarnie strach i ucieknę?

– Żabo – poprawił go Żaba.

– Żabo. Co pan robi w takim wypadku?

– Sam stanę do walki – odpowiedział Żaba po krótkim namyśle. – Moje szanse na wygraną będą nieco większe niż szanse Anny Kareniny w zetknięciu z pędzącą lokomotywą. Czytał pan *Annę Kareninę*?

Kiedy Katagiri odparł, że nie czytał, Żaba zdawał się trochę rozczarowany. Musiał lubić *Annę Kareninę*.

– Ale myślę, że pan nie ucieknie i nie zostawi mnie samego. To widać. Jak by to powiedzieć? Jest pan chłop z jajami. Ja ich, niestety, nie mam. Cha, cha, cha – roześmiał się Żaba, szeroko otwierając usta. Brakowało mu nie tylko jaj – nie miał też zębów.

Nie wszystko da się przewidzieć.

Siedemnastego lutego późnym popołudniem Katagiri został postrzelony. Wracał do banku po zakończeniu obchodu klientów. Szedł sobie ulicą w Shinjuku, gdy nagle wyskoczył skądś młody mężczyzna w skórzanej kurtce. Miał pozbawioną wyrazu nijaką twarz. W ręce trzymał niewielki czarny pistolet – tak czarny i mały, że wydawał się atrapą. Katagiri bezmyślnie patrzył na broń w dłoni mężczyzny. Nie uświadamiał sobie w pełni, że lufa jest wycelowana w niego i cyngiel się porusza. Wszystko było zbyt nieoczekiwane, nie miało sensu. Lecz pistolet wypalił.

Katagiri widział, jak lufa unosi się w wyniku odrzutu. Jednocześnie poczuł uderzenie w prawe ramię, jakby ktoś zadał mu cios młotem. Nie czuł bólu, lecz siła uderzenia przewróciła go. Skórzana teczka wyleciała z prawej dłoni i poszybowała w przeciwnym kierunku. Mężczyzna ponownie skierował lufę w jego stronę. Padł drugi strzał. Reklama baru, którą Katagiri miał przed sobą, rozleciała się w drobny mak. Usłyszał krzyki. Okulary gdzieś mu spadły i wszystko było zamglone. Niewyraźnie widział, że mężczyzna podchodzi do niego z pistoletem w dłoni. Umieram, pomyślał Katagiri. Żaba mówił, że prawdziwy strach to strach przed własną wyobraźnią. Katagiri bez wahania wyłączył wyobraźnię i zatopił się w pozbawionej ciężaru ciszy.

Kiedy oprzytomniał, leżał w łóżku. Najpierw otworzył jedno oko, rozejrzał się trochę dookoła, potem otworzył drugie. W polu widzenia pojawił się stojący przy łóżku stalowy stojak, z którego

biegła w kierunku jego ręki rurka kroplówki. Zobaczył też pielęgniarkę w białym fartuchu. Zorientował się, że leży na twardym łóżku i ma na sobie jakąś dziwną koszulę. Zdawało mu się, że pod spodem jest zupełnie nagi.

Słusznie, ktoś do mnie strzelił, kiedy szedłem ulicą. Zdaje się, że postrzelił mnie w ramię. W prawe ramię. Ta scena odżyła mu przed oczami. Na myśl o małym czarnym pistolecie w dłoni mężczyzny serce zabiło mu złowróźnie. Ci dranie naprawdę chcieli mnie zabić, pomyślał, ale jakoś udało mi się przeżyć. Pamięć też działa. Nie czuję bólu. Nie tylko bólu, nic nie czuję. Nie mogę nawet podnieść ręki.

W pokoju nie było okna. Nie wiedział, czy jest dzień, czy noc. Postrzelono go przed piątą po południu. Ile czasu mogło upłynąć? Czy minęła już północ – godzina wyznaczonego spotkania z Żabą? Katagiri rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu zegara, lecz z powodu braku okularów nie widział nic w głębi pokoju.

– Przepraszam – odezwał się do pielęgniarki.

– O, wreszcie pan oprzytomniał! To bardzo dobrze.

– Która jest godzina?

Pielęgniarka spojrzała na zegarek.

– Piętnaście po dziewiątej.

– Wieczorem?

– A skąd! Już jest rano.

– Piętnaście po dziewiątej rano? – powtórzył Katagiri chrapliwie, podnosząc nieco głowę z poduszki. Jego własny głos brzmiał obco. – Dziewiąta piętnaście rano osiemnastego lutego?

– Tak. – Pielęgniarka podniosła rękę i na wszelki wypadek sprawdziła datę na zegarku. – Jest osiemnasty lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Czy dziś rano było w Tokio wielkie trzęsienie ziemi?

– W Tokio?

– W Tokio.

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

– O ile wiem nie było żadnego większego trzęsienia ziemi.

Katagiri westchnął z ulgą. Nie wiedział, co zaszło, ale udało się jakoś uniknąć trzęsienia ziemi.

– A właśnie, jak moje rany?

– Rany? – powtórzyła pielęgniarka. – Jakie rany?

– Rany postrzałowe.

– Postrzałowe?

– Od kul z pistoletu. Postrzelił mnie młody mężczyzna w pobliżu banku Tokyo Security Trust. Chyba w prawe ramię.

Pielęgniarka uśmiechnęła się zakłopotana.

– No i co ja mam z panem zrobić? Wcale nie został pan postrzelony.

– Nie zostałem postrzelony? Naprawdę nie?

– Naprawdę, wcale nie został pan postrzelony. Tak samo naprawdę, jak to, że dziś rano nie było wielkiego trzęsienia ziemi.

Katagiri nic nie rozumiał.

– To dlaczego jestem w szpitalu?

– Wczoraj po południu znaleziono pana zemdlonego na ulicy w Kabukichō. Nie miał pan zewnętrznych obrażeń. Po prostu stracił pan przytomność i upadł. Jak na razie przyczyna nie jest jasna. Niedługo przyjdzie lekarz, proszę go zapytać.

Zemdlał? Niewątpliwie widział, jak pada strzał z wycelowanego w niego pistoletu. Odetchnął głęboko i spróbował zebrać myśli. Trzeba wyjaśnić wszystko po kolei.

– To znaczy, że od wczorajszego popołudnia ciągle leżę w tym łóżku? Nieprzytomny?

– Tak. Wczoraj wieczorem strasznie pan stękał. Musiał pan mieć dużo złych snów. Wiele razy głośno krzyczał pan: „Żabo!”. Czy to przezwisko jakiegoś znajomego?

Katagiri zamknął oczy i wsłuchał się w bicie własnego serca. Powoli, regularnie wystukiwało rytm życia. Co właściwie zdarzyło się naprawdę, a co było tylko urojeniem? Czyżby Żaba rzeczywiście istniał i stoczywszy walkę z Dźdźownicą, nie dopuścił do trzęsienia ziemi? Czy też wszystko było tylko długim snem na jawie? Katagiri nie miał pojęcia, jaka jest prawda.

Tego dnia późną nocą do sali szpitalnej przyszedł Żaba. Kiedy Katagiri otworzył oczy, zobaczył go w przyćmionym świetle. Żaba siedział na metalowym krześle, opierając się o ścianę. Wydawał się bardzo zmęczony. Wielkie wylupiate zielone oczy były zamknięte, powieki tworzyły równą poziomą linię.

– Żabo! – zawołał Katagiri.

Żaba powoli otworzył oczy. Duży biały brzuch nadymał się i opadał wraz z oddechem.

– Miałem zamiar zgodnie z obietnicą iść o północy do kotłowni, lecz po południu uległem nieprzewidzianemu wypadkowi i przywieziono mnie tutaj.

Żaba lekko potrząsnął głową.

– Wiem, wiem. Wszystko w porządku, nie musi się pan martwić. Pomógł mi pan w walce jak należy.

– Ja? Pomogłem?

– Tak, owszem. Bardzo pomagał mi pan we śnie. Dlatego udało mi się jakoś wytrwać do końca w walce z Dźdźownicą. Dzięki panu.

– Nic nie wiem. Przez długi czas byłem nieprzytomny, do tego leżałem pod kroplówką. Zupełnie nie pamiętam, co robiłem we śnie.

– To nie szkodzi. Lepiej, że pan nie pamięta. Tak czy inaczej cała zażarta walka odbyła się w wyobraźni. To właśnie jest nasze pole walki. Tam wygrywamy i przegrywamy. Oczywiście wszystkim nam dany jest tylko ograniczony czas, więc i tak na końcu przegrywamy. Ale jak trafnie zauważył Ernest Hemingway, ostateczna wartość naszego życia zależy nie od tego, jak wygrywamy, lecz jak przegrywamy. Jakoś udało nam się razem nie dopuścić do zniszczenia Tokio. Udało nam się wyrwać sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi ze szponów śmierci. Osiągnęliśmy to, choć nikt nie zauważył.

– A jak pokonałeś Dźdźownicę? I co ja zrobiłem?

– Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. My... – Żaba przerwał i odetchnął głęboko. – Użyliśmy wszystkich rodzajów broni, jakie udało nam się zdobyć, wykorzystaliśmy całą odwagę. Ciemność była sojusznikiem Dźdźownicy. Przyniósł pan ze sobą generator z napędem nożnym i oświetlił pan pole walki, jak się dało najlepiej. Posługując się iluzjami powstającymi w ciemności, Dźdźownica próbował pana odpędzić. Lecz pan mu się nie dał. Ciemność i światło gwałtownie zmagaly się ze sobą. W tym świetle walczyłem z Dźdźownicą wręcz. Owinął się wokół mnie i pokrył mnie lepłą cieczą strachu. Rozerwałem go na kawałki. Lecz nawet będąc w kawałkach, nie umierał, tylko dzielił się na części. I... – Żaba umilkł, a potem jakby znów zebrał się w sobie resztkami sił i mówił dalej. – Fiodor Dostojewski z niezrównaną delikatnością opisywał ludzi opuszczonych przez Boga. W tym żalonym paradoksie, że człowiek, który stworzył Boga, zostaje przez niego opuszczony, dostrzegł wartość ludzkiej egzystencji. Walcząc w mroku z Dźdźownicą, nieoczekiwanie przypomniałem sobie *Białe noce* Dostojewskiego. Ja... – Żaba zawahał się. – Proszę pana, czy mogę się chwilę zdrzemnąć? Zmęczyłem się.

– Śpij sobie, ile chcesz.

– Nie udało mi się go zniszczyć – dodał Żaba i zamknął oczy. – Jakoś dałem radę zapobiec trzęsieniu ziemi, lecz w walce z Dżdżownicą doprowadziłem tylko do remisu. Zadałem mu rany i on mnie zadał rany... Ale wie pan co?

– Co?

– Jestem Żabą w czystej postaci, a jednocześnie symbolem świata „niezabiego”.

– Nie bardzo rozumiem.

– Ja też nie bardzo rozumiem – powiedział Żaba, nie otwierając oczu. – Po prostu tak mi się zdaje. Nie zawsze to, co widzimy, jest prawdą. Ja będący częścią mnie jestem swoim własnym wrogiem. Mam w sobie nie-siebie. Głowę wypełnia mi mgła. Nadjeżdża lokomotywa. Ale chciałbym, żeby pan to zrozumiał.

– Żabo, jesteś zmęczony. Jak się prześpisz, dojdiesz do siebie.

– Proszę pana, ja będę powoli wracał do chaosu. Lecz jeżeli... ja...

Żaba urwał i stracił świadomość.

Długie ramiona zwisały, nieomal sięgając podłogi. Wielkie płaskie usta były lekko rozchylone. Kiedy Katagiri wyteżył wzrok, dostrzegł, że całe ciało Żaby pokrywają głębokie rany. Tu i tam przecinały je ciemne pręgi, głowa była w jednym miejscu wklęsła, jakby ktoś wyrwał z niej kawałek ciała.

Katagiri długo przyglądał się Żabie otulonemu grubym płaszczem snu. Po wyjściu ze szpitala kupię *Annę Kareninę* oraz *Białe noce* i przeczytam. Potem pogadamy sobie o nich z Żabą.

Wkrótce Żaba zaczął lekko drzeć. Początkowo Katagiri myślał, że to mimowolne skurcze mięśni podczas snu, lecz mylił się. Żaba poruszał się jakoś nienaturalnie, jak wielka lalka, którą ktoś od tyłu potrząsa. Katagiri przyglądał się, wstrzymując oddech. Chciał wstać i podejść do Żaby, lecz zdrętwiałe ciało go nie słuchało.

Niebawem nad oczami Żaby pojawił się i nabrzmiał wielki wrzód. Na ramionach, na bokach również wykwitwały podobne brzydkie wrzody jak bąble na powierzchni wrzącej wody. Pokryły całe ciało Żaby. Katagiri nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Patrzył tylko, dalej wstrzymując oddech.

Nagle jeden z wrzodów pękł. Rozległ się odgłos pękającej skóry i rozerwała się na strzępy. Z wrzodu wypłynęła gęsta ciecz, rozszedł się nieprzyjemny zapach. Kolejne wrzody pękały jeden po drugim. Razem pękło ich ze dwadzieścia, a może trzydzieści, do ściany przylgnęły strzępy skóry i odpryski ropy. Niewielki pokój szpitalny wypełnił się trudnym do zniesienia fetorem. W miejscach po wrzodach potworzyły się czarne dziury i wypełzły z nich roje różnej wielkości robaków. Były białe i tłuste. Po nich pojawiły się stonogi. Ich niezliczone odnóża wydawały nieprzyjemny odgłos. Wypełzały jedna za drugą. Ciało Żaby – a raczej to, co dawniej było ciałem Żaby – pokryły rozmaite wylaniające się z mroku robaki. Duże okrągłe gałki oczne wypadły z oczodołów na podłogę. Czarne robaki o mocnych szczękach zaroili się i rzuciły się, by je pożreć. Stada lepkich dżdżownic jakby na wyścigi pełzły w górę po ścianach i wkrótce dotarły do sufitu. Pokryły jarzeniówkę i wpełzły do czujnika przeciwpożarowego.

Podłoga także zaroila się od owadów. Oblazły lampę stojącą przy łóżku, tak że przesłoniły jej światło. Oczywiście wpełzły też na łóżko. Wszelkie możliwe rodzaje owadów wślizgnęły się pod kołdrę Katagiriego. Wspinały się po nogach, wpełzały mu pod koszulę i między uda. Małe robaki i dżdżownice dostawały się do wnętrza jego ciała przez odbytnicę, uszy i nos. Stonogi na siłę rozwarły mu usta i jedna po drugiej wtargnęły do środka. Katagiri wrzasnął zrozpaczony.

Ktoś zapalił lampę. Pokój zalało światło.

– Proszę pana! – zawołała pielęgniarka. Katagiri otworzył oczy w jasnym pokoju. Był mokry od

potu, jakby ktoś polał go wodą. Robaki zniknęły. W całym ciele pozostało nieprzyjemne lepkie uczucie.

– Znowu miał pan zły sen. Współczuję panu.

Pielęgniarka szybko przygotowała strzykawkę i wbiła mu igłę w ramię.

Katagiri odetchnął, powoli nabierając i wypuszczając powietrze. Serce gwałtownie kurczyło się i rozkurczało.

– Co się panu śniło?

Nie był pewien, gdzie kończy się sen, a zaczyna rzeczywistość.

– Nie zawsze to, co widzimy, jest prawdą – powiedział, jakby sam siebie chciał przekonać.

– Tak – zgodziła się pielęgniarka z uśmiechem. – Szczególnie w przypadku snów.

– Żaba – wyszeptał Katagiri.

– Co z Żabą?

– Żaba sam uratował Tokio od ruiny.

– To całe szczęście – powiedziała pielęgniarka. Założyła nową kroplówkę. – To całe szczęście.

W Tokio nie potrzeba już więcej okropności. Wystarczy tych, które są.

– Ale za to Żaba odniósł rany i zginął. Pewnie wrócił do chaosu, z którego się wyłonił. Już więcej nie przyjdzie.

Pielęgniarka otarła mu pot z czoła, nie przestając się uśmiechać.

– Musiał pan go lubić, prawda?

– Lokomotywa – Katagiriemu plątał się język. – Najbardziej ze wszystkich.

Potem zamknął oczy i zapadł w spokojny sen bez snów.

**Ciastka z miodem**

Hachimitsu pai

- Miś Masakichi znalazł tyle miodu, że sam nie mógł go zjeść, więc napełnił nim wiadro i zszedł z gór do miasteczka, żeby miód sprzedać. Masakichi był mistrzem w podbieraniu miodu.
  - A skąd miś miał wiadro? – zapytała Sara.
  - Znalazł przypadkiem. Leżało na drodze, więc je sobie wziął. Pomyślał, że kiedyś może mu się przydać – wyjaśnił Jumpej.
  - I przydało się.
  - Właśnie. Miś Masakichi przyszedł więc do miasteczka, znalazł sobie wolne miejsce na placu targowym, zrobił napis: „Smaczny naturalny miód – 200 jenów za kubek”, i zaczął sprzedawać.
  - Misie umieją pisać?
  - *No*. Misie nie umieją pisać – odparł Jumpej. – Poprosił jakiegoś pana, który akurat miał ołówek, żeby mu zrobił napis.
  - A umieją liczyć pieniądze?
  - *Yes*. Umieją liczyć pieniądze. Mały Masakichi wychował się wśród ludzi, więc nauczył się mówić, liczyć pieniądze i robić inne takie rzeczy. Był z natury pojętny.
  - Czyli trochę się różnił od innych misiów?
  - Tak, trochę się różnił. Był dość niezwykłym misiem. Dlatego inne, zwykłe misie unikały go.
  - Co to znaczy, że go unikały?
  - Unikały, to znaczy, że mówiły na przykład: „Co u licha? Czemu on się tak popisuje?”, prychały i nie chciały mieć z nim do czynienia. Nie mogły się z nim oswoić. Szczególnie nie lubił go rozrabiaka Tonkichi.
  - Biedny Masakichi.
  - Biedny. Co gorsza, ludzie też mówili: „Umie niby liczyć i mówić, ale to przecież niedźwiedź”. Ani świat misiów, ani świat ludzi nie uważał go za swojego.
  - To był naprawdę biedny. Nie miał kolegów?
  - Nie miał. Misie nie chodzą do szkoły, więc trudno im znaleźć kolegów.
  - A ja mam kolegów i koleżanki w przedszkolu.
  - Oczywiście – powiedział Jumpej. – Oczywiście, że masz kolegów i koleżanki.
  - A ty, Jumpej, masz kolegów? – Sara nazywała go Jumpej, bo „wujek Jumpej” było za długie.
  - Twój tata jest od bardzo dawna moim najlepszym kolegą. I twoja mama tak samo jest moją najlepszą koleżanką.
  - To dobrze, że masz kolegów.
  - Rzeczywiście. Dobrze, że mam kolegów. Masz rację.
- Jumpej często opowiadał Sarze przed snem wymyślane na poczekaniu bajki. Jeżeli czegoś nie rozumiała, zawsze pytała. Jumpej cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Były dociekliwe i interesujące, a poza tym zastanawianie się nad odpowiedzią dawało czas na wymyślenie dalszego ciągu bajki.
- Sayoko przyniosła ciepłe mleko dla Sary.
- Rozmawiamy o misiu Masakichim – poinformowała matkę dziewczynka. – Jest mistrzem w podbieraniu miodu, ale nie ma kolegów.
  - Aha. A czy to duży miś? – zapytała Sayoko.
- Sara spojrzała na Jumpeja zaniepokojona.
- Czy Masakichi jest duży?
  - Nie bardzo duży. To raczej niewielki niedźwiadek. Mniej więcej tej wielkości co ty. I jest



grzeczny. Nie lubi punku ani hard rocka. Słucha sobie czasem Schuberta.

Sayoko zanuciła melodię *Pstrąga*.

– Jak słucha muzyki, to znaczy, że ma odtwarzacz płyt kompaktowych? – zapytała Sara.

– Znalazł gdzieś radiomagnetofon i zabrał go do domu.

– Czy w górach naprawdę można zawsze znaleźć takie przydatne rzeczy? – zapytała Sara z powątpiewaniem.

– To bardzo, bardzo strome góry i wszystkim turystom kręci się w głowach, więc po drodze wyrzucają po kolei niepotrzebne rzeczy. Mówią sobie: „Nie ma rady. Plecak jest za ciężki. Nie mogę go dalej nieść. Niepotrzebne mi wiadro. Radiomagnetofon też niepotrzebny”, i wyrzucają. Dlatego na drodze leży wiele przydatnych rzeczy.

– Mamusia też zna to uczucie – powiedziała Sayoko. – Zdarza się, że chce człowiek wszystko wyrzucić.

– Mnie się nie zdarza.

– Bo zawsze ci wszystkiego mało – odparła Sayoko.

– Nie zawsze – zaprotestowała Sara.

– To dlatego, że jesteś jeszcze młoda i pełna energii – sprostował Jumpej, patrząc na nią łagodnie. – Ale wypij szybko mleczko. Jak wypijesz, opowiem ci dalej o misiu Masakichim.

– Dobrze – zgodziła się Sara, ujęła kubek w dłonie i uważając, żeby nie rozlać, wypita ciepłe mleko. – A dlaczego Masakichi nie piecze ciastek z miodem? Mógłby je sprzedawać. Na pewno ludzie w miasteczku bardziej by się cieszyli z ciastek z miodem niż z samego miodu.

– Bardzo słuszna uwaga. Zysk także miałby większy – powiedziała Sayoko z uśmiechem.

– Tworzenie nowego rynku dzięki wartości dodanej. To dziecko ma zadatki na przedsiębiorcę – powiedział Jumpej.

Przed drugą Sara w końcu wróciła do łóżka i usnęła. Po upewnieniu się, że śpi, Jumpej i Sayoko usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole i wypili na spółkę puszkę piwa. Sayoko miała dość słabą głowę, a Jumpej musiał jeszcze wrócić samochodem do domu do Yoyogi-Uehara.

– Przepraszam, że cię tu wyciągnęłam w środku nocy – powiedziała Sayoko. – Ale nie wiedziałam, co robić. Byłam wykończona, u kresu wytrzymałości, a wiedziałam, że tobie na pewno uda się ją uspokoić. Przecież nie mogłam zadzwonić do Kana.

Jumpej przytaknął, wypił łyk piwa i zjadł krakersa z talerzyka.

– Nie musisz się mną przejmować. I tak nie śpię do rana, a w nocy nie ma dużego ruchu. To żaden kłopot.

– Pracowałeś?

– W zasadzie tak.

– Pisałeś coś?

Jumpej skinął potakująco głową.

– Dobrze idzie?

– Jak zawsze: piszę opowiadanie. Ukazuje się w czasopiśmie literackim. Nikt go nie czyta.

– Ja czytam wszystko, co piszesz. Bez wyjątku.

– Dzięki. Jesteś bardzo miła. Ale tak czy inaczej, opowiadanie jako gatunek literacki staje się coraz bardziej przestarzałe, jak biedny suwak logarytmiczny. No, ale to nieważne. Porozmawiajmy o Sarze. Czy to jej się od czasu do czasu zdarza?

Sayoko skinęła głową.

– Byłoby dobrze, gdyby zdarzało się tylko od czasu do czasu. Ostatnio jest tak prawie co dzień.

Po północy dostaje histerii i wyskakuje z łóżka. Przez dłuższy czas trzęsie się ze strachu, nie może się uspokoić. Pocięszam ją, jak mogę, lecz nie przestaje płakać. Już nie wiem, co mam robić.

– Nie przychodzi ci do głowy żadna możliwa przyczyna?

Sayoko dopiła piwo i przez chwilę przyglądała się pustej szklance.

– Pewnie oglądała za dużo wiadomości O trzęsieniu ziemi w Kobe. Prawdopodobnie te obrazy są zbyt dramatyczne dla czteroletniej dziewczynki. Myślę tak, bo zaczęła się budzić w nocy mniej więcej od czasu trzęsienia ziemi. Mówi, że przychodzi do niej jakiś nieznajomy – „pan Trzęsieniowy”. Budzi ją i próbuje wepchnąć do niewielkiego pudełka. Jest za małe, człowiek się w nim nie zmieści. Sara mówi, że nie chce do pudełka, a wtedy on chwyta ją za rękę i próbuje tam wepchnąć na siłę, łamiąc jej kończyny w stawach. Dlatego Sara krzyczy i budzi się.

– Pan Trzęsieniowy?

– Uhm. Podobno jest stary, wysoki i chudy. Budzi się z tego snu, zapala światła w całym mieszkaniu, obchodzi wszystkie kąty i szuka go. W szafie, w szafce na buty, pod łóżkiem, w szufladach komody. Powtarzam jej, że to tylko sen, ale nie słucha. Kiedy skończy przeszukiwanie i upewni się, że go nigdzie nie ma, nareszcie się uspokaja i może znów zasnąć. To potrafi zająć dwie godziny i ja jestem kompletnie wyrwana ze snu. Ledwo się trzymam na nogach z chronicznego niewyspania. Nawet pracować mi trudno.

Sayoko rzadko mówiła tak otwarcie o tym, co czuje.

– Lepiej, żeby nie oglądała wiadomości – powiedział Jumpej. – Nie powinnaś włączać telewizora. Teraz na wszystkich kanałach pokazują skutki trzęsienia ziemi.

– Ja już prawie nie oglądam telewizji. Ale to nie pomaga. Pan Trzęsieniowy i tak przychodzi. Byłam z nią nawet u lekarza. Dał mi tylko środki nasenne, żeby się mnie pozbyć.

Jumpej rozmyślał nad tym przez chwilę.

– Jeśli chcesz, może w niedzielę pójdziemy do zoo? Sara mówi, że chciałyby zobaczyć prawdziwego misia.

Sayoko spojrzała na Jumpeja spod przymrużonych powiek.

– Niezły pomysł. Może ją to rozerwie. Tak, chodźmy we czwórkę do zoo. Dawno nigdzie razem nie byliśmy. Skontaktujesz się z Kanem i powiesz mu?

Jumpej miał trzydzieści sześć lat. Urodził się i wychował w Nishinomiya, w prefekturze Hyōgo. Mieszkał na spokojnym osiedlu w dzielnicy Shukugawa. Jego ojciec prowadził dwa sklepy jubilerskie, w Osace i Kobe. Jumpej miał młodszą o sześć lat siostrę. Po skończeniu prywatnej szkoły średniej w Kobe dostał się na uniwersytet Waseda. Przyjęto go na wydział handlowy i na wydział literatury, a on bez wahania wybrał literaturę, lecz rodzicom skłamał, że będzie studiował handel, bo na pewno nie chcieliby płacić za studia na literaturze, lecz nie miał zamiaru marnować czterech lat na zgłębianie struktury gospodarczej. Pragnął uczyć się literatury, a co więcej, chciał zostać powieściopisarzem.

Na jednym z wykładów poznał dwoje studentów, z którymi się później zaprzyjaźnił – Kana Takatsukiego i Sayoko. Takatsuki pochodził z prefektury Nagano. Wysoki, o szerokich barach, w szkole średniej był kapitanem szkolnej drużyny piłki nożnej. Dopiero za drugim razem dostał się na studia, więc był o rok starszy od Jumpeja. Praktyczny, zdecydowany, miał sympatyczną twarz i naturalne zdolności przywódcze, ale nie lubił czytać. Znalazł się na wydziale literatury, ponieważ tylko tam się dostał.

– To nie szkodzi. Mam zamiar zostać dziennikarzem, nauczę się tu pisać – mawiał i nie upadał na duchu.

Jumpej nie był pewien, dlaczego Takatsuki zainteresował się kimś takim jak on. Jumpej należał do ludzi, którzy w każdej wolnej chwili zamykają się w pokoju i czytają albo słuchają muzyki – nigdy go to nie nudziło. Nie był zbyt dobry w sportach. Był też nieśmiały, toteż trudno zawierał przyjaźnie. Lecz z jakiegoś powodu Takatsuki zwrócił na niego uwagę na pierwszym wykładzie i od razu postanowił się z nim zaprzyjaźnić. Podeszedł do niego, klepnął lekko w plecy i powiedział: „Chodźmy coś razem zjeść”. I od tego dnia zostali bliskimi przyjaciółmi. Jednym słowem od początku doskonale się rozumieli.

Jumpej był przy tym, jak Takatsuki tak samo zapoznał się z Sayoko. Lekko klepnął ją po ramieniu i powiedział: „Chodźmy coś we trójkę zjeść”. W ten sposób narodziła się ich trzyosobowa grupka przyjacielska. Pożyczali sobie notatki z wykładów, wspólnie jadali obiady w stołówce uniwersyteckiej, między wykładami rozmawiali w kawiarniach o przyszłości, dorabiali sobie, pracując w tych samym miejscach, chodzili na całonocne seanse filmowe, na koncerty rockowe, włączyli się bez celu po Tokio i tak opijali się piwem w piwiarniach, że zbierało im się na wymioty. Czyli robili to, co robią studenci pierwszego roku na całym świecie.

Sayoko urodziła się w Asakusa, istniejącej od dawien dawna dzielnicy kupców i rzemieślników. Jej rodzina prowadziła od pokoleń sklep z tradycyjną galanterią japońską, w którym ponoć zaopatrywali się słynni aktorzy teatru kabuki. Miała dwóch starszych braci. Jeden z nich miał przejąć po ojcu sklep, drugi był architektem. Sayoko skończyła ekskluzywną szkołę średnią dla dziewcząt i dostała się na wydział literatury uniwersytetu Waseda. Zamierzała iść na studia podyplomowe na anglistyce i zająć się pracą naukową. Dużo czytała. Wymieniali się z Jumpejem książkami i z zapałem dyskutowali o powieściach.

Miała piękne włosy i mądre oczy. Mówiła zawsze łagodnie, prosto i szczerze, lecz wyraziste usta o zdecydowanym wyrazie dowodziły silnego charakteru. Zawsze ubierała się na luzie, nie malowała się, nie była typem dziewczyny, za którą mężczyźni oglądają się na ulicy. Miała specyficzne poczucie humoru i kiedy żartowała, jej twarz przybierała na chwilę figlarny wyraz, za którym Jumpej przepadał. Był przekonany, że jest kobietą jego życia. Nigdy wcześniej nie był zakochany. Chodził do męskiej szkoły i nie miał okazji do poznawania dziewczyn.

Lecz nie mógł wyznać Sayoko tych uczuć. Wiedział, że jeżeli je wyjawi, nie będzie odwrotu. Sayoko może zniknąć gdzieś, gdzie już jej nie dosięgnie. A nawet jeśli nie zniknie, prawdopodobnie nieco zachwieje się równowaga w przyjacielskich stosunkach ich trójki. Niech jeszcze przez pewien czas zostanie tak, jak jest, myślał. Poczekam trochę na rozwój sytuacji.

Jednak to Takatsuki wykonał pierwszy ruch.

– Głupio mi tak zniecka ci to mówić – zaczął. – Kocham Sayoko. Nie masz nic przeciwko temu?

Było to w połowie września. Takatsuki wyjaśnił, że w czasie wakacji, kiedy Jumpej wrócił do domu, do Kansai, przy jakiejś okazji nieoczekiwanie zbliżyli się do siebie.

Jumpej przyglądał się przez chwilę przyjacielowi. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego znaczenie słów Takatsukiego. Kiedy jednak zrozumiał, co się stało, świadomość nowej sytuacji przytłoczyła go swym ciężarem. Nie było już wyboru.

– Nie mam – odpowiedział.

– To dobrze – uśmiechnął się szeroko Takatsuki. – Martwiłem się, jak zareagujesz. Bo było nam fajnie we trójkę, a ja się tak z tym pierwszy wyrwałem. Ale wiesz, Jumpej, musiało do tego dojść. Zrozum. Nawet gdyby teraz nie doszło, kiedyś by doszło. No, mniejsza o to. My chcemy tak jak to tej pory spotykać się we trójkę. Dobra?

Kolejnych kilka dni Jumpej spędził jakby nieprzytomny. Opuszczał zajęcia, bez słowa

wyjaśnienia przestał chodzić do pracy. Przez cały dzień leżał w swym niewielkim dziesięciometrowym pokoju, jadł to, co zostało w lodówce – a zostało niewiele. Czasami, kiedy sobie przypominał, pił alkohol. Poważnie zastanawiał się, czy nie zrezygnować ze studiów. Pojechałby do jakiegoś dalekiego miasta, w którym nikogo by nie znał, i dokonał samotnie żywota, pracując fizycznie. Zdawało mu się, że takie życie najbardziej by mu odpowiadało.

Kiedy przez pięć dni nie pokazał się na zajęciach, Sayoko przyszła sprawdzić, co się z nim dzieje. Miała na sobie granatową bluzę od dresu, białe bawełniane spodnie, włosy upięła do góry.

– Dlaczego nie chodzisz na uczelnię? Wszyscy się martwią, że może leżysz nieżywy w mieszkaniu. Kan kazał mi iść zobaczyć. Sam nie ma ponoć ochoty oglądać trupów. W pewnych sprawach jest tchórzem, choć na to nie wygląda.

Jumpej powiedział, że się źle czuł.

– Rzeczywiście bardzo schudłeś – stwierdziła Sayoko, przyglądając mu się. – Może ci zrobię coś do jedzenia?

Jumpej potrząsnął głową i powiedział, że nie ma apetytu.

Sayoko zajrzała do lodówki i zmarszczyła brwi. W środku były dwie puszki piwa, zdechły ogórek i proszek pochłaniający zapachy. Usiadła obok Jumpeja.

– Słuchaj, nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, ale krótko mówiąc, czy ty przypadkiem nie jesteś obrażony na mnie i Kana?

Jumpej powiedział, że nie jest obrażony. Nie kłamał. Nie był obrażony ani wściekły. Jeżeli był wściekły, to raczej na siebie. To rozumiałe, że Takatsuki i Sayoko zakochali się w sobie. Nic bardziej naturalnego. Takatsuki miał do tego kwalifikacje, Jumpej – nie.

– Może wypijemy piwo na połowę? – zaproponowała Sayoko.

– Dobra.

Sayoko wyjęła z lodówki piwo i rozlała do dwóch szklanek. Podała jedną Jumpejowi. Pili w milczeniu.

W końcu Sayoko odezwała się pierwsza:

– Głupio mi w ogóle mówić coś takiego, ale chciałabym, żebyśmy się dalej przyjaźnili. Nie tylko teraz, ale jak będziemy starsi też. Przez długie lata. Zależy mi na Kanie, ale ty także jesteś mi potrzebny, w zupełnie innym sensie. Uważasz, że to samolubne?

Jumpej nie był pewien, ale na wszelki wypadek pokręcił głową.

Sayoko mówiła dalej:

– To, że się coś rozumie, nie znaczy wcale, że ma się to jasno przed oczami. Gdyby jedno i drugie było jednocześnie możliwe, życie byłoby prostsze.

Jumpej patrzył na jej profil. Nie rozumiał, co próbuje mu przekazać. Dlaczego ja jestem taki mało roztropny, myślał. Podniósł wzrok na sufit, na którym widniała plama. Przez dłuższą chwilę bezmyślnie wodził wzrokiem po jej zarysie.

Jak rozwinęłaby się sytuacja, gdyby wyznał Sayoko miłość, zanim Takatsuki go uprzedził? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko jedno – to się nigdy nie zdarzy.

Na matę kapąły łzy. Dźwięk zdawał się dziwnie donośny. Przez chwilę myślał, że sam płacze, nie zdając sobie z tego sprawy. Lecz płakała Sayoko. Zwiesiła głowę między kolanami, a jej ramionami wstrząsał bezgłośny szloch.

Nieomal nieświadomie wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu. Potem delikatnie przytulił ją do siebie. Nie opierała się. Objął ją i przycisnął usta do jej ust. Zamknęła oczy i lekko rozchyliła wargi. Jumpej poczuł zapach łez, oddech dobywający się spomiędzy jej warg. Odetchnął jej

oddechem. Czuł miękkość jej piersi. Miał wrażenie, że coś kompletnie przestawia mu się w głowie. Usłyszał nawet dźwięk – jakby zatrzeszczało w stawach całego świata. Ale na tym się skończyło. Sayoko jakby oprzytomniała, odwróciła twarz i odepchnęła go.

– Przestań – powiedziała cicho i potrząsnęła głową. – Tak nie wolno.

Jumpej przeprosił. Sayoko się nie odezwała. Długo siedzieli w milczeniu. Okno było otwarte i wiatr przynosił dźwięk radia. Nadawali modną piosenkę. Pewnie do śmierci nie zapomnę tej piosenki, pomyślał Jumpej. Jednak później mimo wyęźniania pamięci nie mógł sobie przypomnieć ani tytułu, ani melodii.

– Nie masz za co przepraszać. To nie twoja wina – powiedziała Sayoko.

– Chyba mam zamęt w głowie – odparł szczerze Jumpej.

Sayoko położyła rękę na jego dłoni.

– Przyjdiesz jutro do szkoły? Nigdy przedtem nie miałam takiego przyjaciela. Jesteś dla mnie bardzo ważny. Pamiętaj o tym.

– Ale niedostatecznie ważny, prawda?

– Mylisz się – powiedziała zrezygnowana, odwracając głowę. – Bardzo się mylisz.

Następnego dnia Jumpej poszedł na wykłady. Do końca studiów pozostali z Takatsukim i Sayoko bliskimi przyjaciółmi. Ku swemu zdziwieniu przestał odczuwać chęć, żeby gdzieś zniknąć, która przez pewien czas go męczyła. Dzięki temu, że objął wtedy i pocałował Sayoko, coś się w nim uspokoiło. Przynajmniej nie muszę się już wahać, pomyślał. Wszystko zostało rozstrzygnięte. Choć rozstrzygnął to ktoś inny.

Sayoko przedstawiała Jumpejowi koleżanki z liceum i czasami chodzili na randki we czwórkę. Jumpej zaczął się umawiać z jedną z nich, i to z nią po raz pierwszy poszedł do łóżka. Było to niedługo przed jego dwudziestymi urodzinami. Lecz myślami był zawsze gdzie indziej. Był dla niej grzeczny, dobry i łagodny, lecz nigdy nie czuł namiętności ani oddania. Oddany i namiętny bywał jedynie, gdy w samotności pisał opowiadania. Wkrótce dziewczyna odeszła, by gdzie indziej poszukać prawdziwego ciepła. To samo powtórzyło się kilkakrotnie z innymi.

Gdy zrobił dyplom, wyszło na jaw, że studiował literaturę, a nie handel, i stosunki między nim a rodzicami fatalnie się popsuły. Ojciec oczekiwał, że wróci do Kansai i przejmie rodzinny interes, lecz syn nie miał takiego zamiaru. Powiedział, że pragnie zostać w Tokio i dalej pisać, jednak rodzice nie byli skłonni iść na kompromis i w rezultacie doszło do gwałtownej kłótni. Padło kilka słów, których nie należało mówić. Od tego czasu ani razu się z nimi nie widział. Mimo że byli jego rodzicami, od początku wiedział, że się z nimi nie dogada. W odróżnieniu od młodszej siostry, która się dopasowywała, Jumpej od dzieciństwa ciągle się z nimi ścierał. Czy zostałem wydziedziczony jak dekadentki pisarz z początków dwudziestego wieku? – zastanawiał się Jumpej z gorzkim uśmiechem.

Pracować dorywczo i ledwo wiązał koniec z końcem. Zaczął pisać opowiadania. W tamtych czasach każde, gdy skończył, zawsze najpierw pokazywał Sayoko i prosił o szczerą opinię. Następnie poprawiał tekst, kierując się jej radami. Poprawiał wielokrotnie, starannie i cierpliwie, aż powiedziała: „Może być”. Nie miał mistrza ani kolegów po fachu. Rady Sayoko były jedynym słabym światłem oświetlającym mu drogę.

Opowiadanie, które napisał, mając dwadzieścia cztery lata, otrzymało nagrodę miesięcznika literackiego za debiut i kandydował do nagrody im. Akutagawy<sup>[4]</sup>. W ciągu następnych pięciu lat był nominowany cztery razy. Niezły wynik. W końcu jednak nie przyznano mu nagrody, pozostał obiecującym kandydatem. „Styl, jak na debiutanta w tak młodym wieku, jest wyrafinowany,

nakreślenie tła i analiza psychologiczna również są prawidłowe, lecz gdzieś tam widać tendencję do nadmiernego sentymentalizmu i brak przemawiającej do czytelnika świeżości oraz wizji powieściowej” – brzmiały typowe opinie jurorów.

Takatsuki roześmiał się po ich przeczytaniu.

– Myślę, że wszyscy są trochę stuknięci. Co to właściwie jest wizja powieściowa? Normalny dorosły człowiek nie używa takich określeń. Czy powiedziałoby się: „W dzisiejszym obiedzie brak wizji wołowej”?

Przed trzydziestką Jumpej wydał dwa zbiory opowiadań. Pierwszy był zatytułowany *Koń w deszczu*, a drugi *Winogrona*. Sprzedano dziesięć tysięcy egzemplarzy *Konia* i dwanaście tysięcy *Winogron*. Redaktor powiedział, że to niezła sprzedaż jak na opowiadania młodego twórcy literatury pięknej. Recenzje w gazetach i czasopismach też były zasadniczo pozytywne, lecz nie wyrażały gorącego entuzjazmu.

Opowiadania Jumpeja zwykle traktowały o nieodwzajemnionej miłości wśród młodych ludzi. Miały niezmiennie nieszczęśliwe zakończenia i były nieco sentymentalne. Wszyscy mówili, że są dobrze napisane, lecz niewątpliwie odbiegały od modnego nurtu literatury. Styl był liryczny, treść raczej staroświecka. Czytelnicy z jego pokolenia poszukiwali bardziej zdecydowanego, nowatorskiego stylu i treści. W końcu były to czasy gier komputerowych i rapu. Redaktor zachęcał go do napisania powieści. Jeżeli pisze się tylko opowiadania, nie da się uniknąć powtarzania tego samego materiału, a świat, w którym rozgrywa się akcja utworu, proporcjonalnie się zawęża, mówił. Często dzięki napisaniu powieści otwierają się przed pisarzem nowe horyzonty. Także patrząc z praktycznego punktu widzenia, trzeba pamiętać, że powieści przyciągają więcej uwagi niż opowiadania i trudno będzie Jumpejowi dalej utrzymywać się z zawodowego pisarstwa, jeżeli ograniczy się do tych drugich. Niełatwo jest wyżyć z pisania opowiadań.

Jednak Jumpej był urodzonym autorem opowiadań. Zamykał się w pokoju, rzucał wszystko inne, brał głęboki oddech i pracując w samotności, w ciągu trzech dni kończył opowiadanie. Przez kolejne cztery dni poprawiał. Oczywiście potem pokazywał je Sayoko oraz redaktorowi i wprowadzał wiele nowych poprawek. Lecz zasadniczo pierwszy tydzień był najważniejszy – decydował o zwycięstwie lub przegranej. Wtedy powstawała treść, zapadały decyzje. Taki rytm pracy leżał w charakterze Jumpeja. Całkowite skupienie przez krótki okres. Skondensowany obraz i słowa. Jednak zawsze wahał się, gdy myślał o napisaniu powieści. Jak przez kilka miesięcy, a może nawet rok utrzymać taką koncentrację? Jak nad nią panować? Nie potrafiłby długo pracować w takim rytmie.

Wiele razy próbował napisać powieść, lecz za każdym razem ponosił nieuniknioną klęskę. W końcu się poddał. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał pozostać autorem opowiadań. To był jego styl. Na nic wysiłki – nie zmieni swojego charakteru. Tak samo jak dobry zawodnik drugiej bazy nie zmieni się w pałkarza, który wybija piłkę na *home run*.

Prowadził skromne życie kawalera, więc nie potrzebował dużo pieniędzy na utrzymanie. Po zapewnieniu sobie wystarczającego dochodu, nie przyjmował więcej zamówień. Miał milczącego białego kota w brązowe i czarne łaty. Znajdował sobie niewymagające dziewczyny, lecz gdy tylko zaczynał się czuć ograniczany, zrywał z nimi pod jakimś pretekstem. Czasami, mniej więcej raz w miesiącu, budził się w środku nocy ogarnięty niepokojem. Wyraźnie czuł, że choćby się wysiłał i tak nigdy do niczego nie dojdzie. Wtedy siadał przy biurku i zmuszał się do pracy lub pił, aż zasnął. Poza tym prowadził spokojne wolne od kłopotów życie.

Takatsuki, tak jak sobie wymarzył, znalazł pracę w jednej z największych gazet. Nie uczył się, więc nie mógł się pochwalić dobrymi ocenami, lecz doskonale wypadł podczas rozmowy

kwalifikacyjnej i został praktycznie z miejsca zatrudniony. Sayoko, także tak jak sobie życzyła, poszła na studia podyplomowe. W pół roku po studiach wzięli ślub. Wesele było, w stylu Takatsukiego, hałaśliwe i wesołe, a w podróż poślubną pojechali do Francji. Naprawdę los im sprzyjał. Kupili trzypokojowe mieszkanie w Kōenji. Dwa lub trzy razy w tygodniu Jumpej przychodził do nich na kolację. Młode małżeństwo serdecznie cieszyło się z jego wizyt. Zdawało się wręcz, że czują się swobodniej w jego towarzystwie niż sami we dwoje.

Takatsuki lubił pracę dziennikarza. Najpierw przydzielono go do działu aktualności krajowych, więc jeździł z miejsca na miejsce, od jednego wydarzenia do następnego. Przy tych okazjach widywał wiele zwłok. Na szczęście przestały na mnie robić wrażenie, mówił. Zmasakrowane zwłoki przejechanych, zwęglone ofiary pożarów, rozkładające się zwłoki, obrzmiałe zwłoki topielców, zwłoki z rozprysniętym od wystrzałów mózgiem, zwłoki, którym odpiłowano głowę i ramiona.

– Żywi ludzie do pewnego stopnia się między sobą różnią, ale po śmierci wszyscy są tacy sami, zużyte, puste cielesne powłoki – twierdził.

Był bardzo zajęty, często zdarzało się, że nie wracał aż do rana. Wtedy Sayoko dzwoniła do Jumpeja. Wiedziała, że chodzi spać dopiero nad ranem.

– Pracujesz? Możesz rozmawiać?

– Mogę. Nie robię niczego specjalnego – odpowiadał zawsze.

Rozmawiali o ostatnio przeczytanych książkach, o wydarzeniach codziennego życia. I o dawnych czasach – o wydarzeniach młodości, kiedy wszyscy byli wolni, szaleni i spontaniczni. Prawie nie mówili o przyszłości. Gdy tak rozmawiali, zawsze w pewnej chwili wracało do niego wspomnienie dnia, kiedy trzymał Sayoko w ramionach. Jej gładkie usta, zapach łez, miękkie piersi były zaraz obok, jakby to wszystko zdarzyło się bardzo niedawno. Pamiętał nawet czyste jesienne światło słońca padające na maty w pokoju.

Sayoko skończyła trzydzieści lat i wkrótce zaszła w ciążę. Była wtedy asystentką na uniwersytecie, lecz wzięła urlop. Urodziła córeczkę. Wszyscy troje zastanawiali się nad imieniem dla dziewczynki i w końcu przyjęto propozycję Jumpeja – imię Sara. „Ślicznie brzmi” – powiedziała Sayoko. Wieczorem, po porodzie, Jumpej z Takatsukim usiedli po raz pierwszy od dawna we dwóch przy stole kuchennym i opijali narodziny dziewczynki. Opróżnili butelkę whisky Single Malt, którą Jumpej przyniósł z gratulacjami.

– Dlaczego czas tak szybko mija? – zastanawiał się Takatsuki z rzadkim u niego wzruszeniem. – Zdaje mi się, że dopiero co byłem na pierwszym roku. Poznałem ciebie, Sayoko... i ani się człowiek obejrzał, a tu ma dziecko. Jestem ojcem! Mam wrażenie, że oglądam przyspieszony film – dziwne uczucie. Ale ty pewnie tego nie rozumiesz. Dalej żyjesz jak student. Strasznie ci zazdrozczę.

– Nie ma czego zazdrościć.

Lecz Jumpej rozumiał Takatsukiego. Sayoko została matką. Dla Jumpeja także było to szokiem. Zębate koło życia ze szczękiem przesunęło się o jeden ząbek i wiadomo już na pewno, że się nie cofnie. Jumpej nie wiedział jeszcze, jakiego rodzaju emocje budziło to w głębi jego serca.

– Teraz mogę ci powiedzieć, że moim zdaniem Sayoko wtedy wołała ciebie ode mnie – oznajmił Takatsuki. Był dość pijany, lecz oczy miał poważne jak nigdy.

– Żartujesz! – roześmiał się Jumpej.

– Wcale nie żartuję. Jestem tego pewien. Ty jeden nie wiedziałeś. Niewątpliwie potrafisz pisać piękne przemyślane zdania, ale o uczuciach kobiet wiesz mniej niż topielec. Tak czy inaczej ja ją kochałem i żadna inna nie mogła jej zastąpić. Dlatego musiałem ją zdobyć. Nawet teraz uważam, że jest najwspanialszą kobietą na świecie. I myślę, że miałem prawo ją zdobyć.

– Nikt nie zaprzecza – powiedział Jumpej.

Takatsuki skinął głową.

– Ale ty ciągle jeszcze nie rozumiesz. A to dlatego, że jesteś beznadziejnym idiotą. Ale możesz sobie być idiotą. Nie jesteś taki zły. Nadałeś imię mojej pierwszej córce.

– A mimo to nie rozumiem najważniejszych rzeczy.

– Tak jest. Mimo to zupełnie nie rozumiesz najważniejszych rzeczy. Ani w ząb. Dziwne, że udaje ci się pisać.

– Pewnie pisanie to co innego.

– Tak czy inaczej teraz jest nas czworo – powiedział Takatsuki z lekkim westchnieniem. – Ale ciekawe, czy cztery to właściwa liczba?

## 2

O rozpadzie związku Takatsukiego z Sayoko Jumpej dowiedział się niedługo przed drugimi urodzinami Sary. Sayoko wyjawiała mu to, jakby czuła się winna. Już podczas jej ciąży Takatsuki miał kochankę i ostatnio prawie nie wracał do domu. Była jego koleżanką z pracy. Sayoko tłumaczyła mu wszystko bardzo konkretnie, lecz Jumpej nie mógł tego przyjąć do wiadomości. Po co Takatsukiemu kochanka? Wieczorem w dniu urodzin Sary oświadczył, że Sayoko jest najwspanialszą kobietą na świecie. Te słowa płynęły prosto z serca. Poza tym uwielbiał córeczkę, Sarę. Więc dlaczego miałby porzucić rodzinę?

– Przecież ciągle u was bywałem na kolacjach. Prawda? I nic na to nie wskazywało. Wydawaliście się szczęśliwi, w moich oczach byliście nieomal idealną rodziną.

– To prawda – Sayoko uśmiechnęła się łagodnie. – Nie kłamaliśmy ani nie udawaliśmy. Ale mimo to ma kochankę i nie da się tego zmienić. Dlatego zamierzamy się rozstać. Nie przejmuj się tak bardzo. Na pewno tak będzie lepiej. Pod różnymi względami.

Pod różnymi względami – powtórzył w myślach Jumpej. Świat jest pełen niezrozumiałych wyrażeń.

Kilka miesięcy później oficjalnie się rozwiedli. Musieli konkretnie uzgodnić kilka spraw, lecz nie doszło do żadnego konfliktu. Nie było wymówek ani wzajemnych żądań. Takatsuki wyprowadził się z domu i zamieszkał z kochanką, Sara została z matką. Raz w tygodniu Takatsuki przyjeżdżał do Kōenji spotkać się z córką. Zgodzili się z Jumpejem, że w miarę możliwości będzie obecny przy tych spotkaniach.

– Będziemy się czuli swobodniej – powiedziała mu Sayoko.

Będą się czuli swobodniej? Jumpej miał wrażenie, że strasznie się postarzał. A mam dopiero trzydzieści trzy lata, pomyślał.

Sara mówiła do ojca „papa”, a do Jumpeja po imieniu. We czwórkę stworzyli dziwną pseudorodzinę. Kiedy się spotykali, Takatsuki jak zawsze perorował w dobrym humorze, a Sayoko zachowywała się naturalnie, jakby nic się nie stało. Jumpejowi zdawało się wręcz, że zachowuje się naturalniej niż przedtem. Sara jeszcze nie rozumiała, że rodzice się rozwiedli. Jumpej nie miał specjalnych obiekcji, aby skrupulatnie odgrywać rolę, jaka mu przypadła. Jak dawniej żartowali we troje i wspominali. Jedno, co Jumpej rozumiał, to fakt, że było im to wszystkim potrzebne.

– Słuchaj, Jumpej – zaczął Takatsuki, kiedy wyszli kiedyś od Sayoko. Był styczniowy wieczór, w powietrzu unosiły się chmurki oddechu. – Masz jakieś plany małżeńskie?

– Na razie nie mam.

– A masz jakąś stałą dziewczynę?

– Chyba nie.



– A nie miałbyś ochoty związać się z Sayoko? Jumpej gapił się na niego zaskoczony, jakby coś poraziło go w oczy. – Dlaczego?

– Dlaczego? – Takatsuki zdawał się bardziej zdziwiony niż Jumpej. – Dlaczego? To chyba oczywiste? Po pierwsze, nie chciałbym, żeby ktoś inny był ojcem Sary.

– I tylko dlatego mielibyśmy się z Sayoko pobrać?

Takatsuki westchnął i otoczył Jumpeja potężnym ramieniem.

– Nie masz ochoty się żenić z Sayoko? Nie chcesz dojadać resztek po mnie?

– Nie o to chodzi. Mnie zastanawia, czy można się tak zamieniać, jakby to była jakaś transakcja.

Tu chodzi o przyzwoitość.

– To nie jest żadna transakcja – odparł Takatsuki. – I przyzwoitość nie ma z tym nic wspólnego.

Kochasz Sayoko, prawda? Przecież Sarę też kochasz. Nie mam racji? Czy nie to jest najważniejsze? Patrzysz na to pewnie w swój pokręcony sposób, ale z mojego punktu widzenia sięgasz po prostu lewą ręką do prawego ucha.

Jumpej nie odpowiadał. Takatsuki też umilkł. Rzadko zdarzało mu się tak długo milczeć. Wydychając białe chmurki oddechu, szli ramię przy ramieniu w kierunku stacji.

– Tak czy inaczej jesteś beznadziejnym idiotą – powiedział w końcu Jumpej.

– Nie da się ukryć. Naprawdę tak jest. Nie zaprzeczam. Rujnuję sobie życie. Ale nie było rady. Nie dało się tego odwrócić. Sam nie wiem, jak do tego doszło. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nawet gdyby teraz do tego nie doszło, kiedyś pewnie by doszło.

Już to słyszałem, pomyślał Jumpej.

– Wczorom w dniu urodzin Sary powiedziałaś wyraźnie, że Sayoko jest najwspanialszą kobietą na świecie, prawda? Pamiętasz? Że żadna nie mogłaby jej zastąpić.

– Teraz też tak myślę. Nic się nie zmieniło. Ale przecież zdarza się, że właśnie dlatego się między ludźmi nie układa.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Ty nigdy nie zrozumiesz – powiedział Takatsuki i pokręcił głową. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo.

Minęły dwa lata od ich rozvodu. Sayoko nie wróciła na uniwersytet. Na prośbę Jumpeja znajomy redaktor dał jej coś do tłumaczenia. Wykonała pracę bardzo dobrze. Nie tylko miała talent językowy, potrafiła też pisać. Pracowała szybko, starannie i wydajnie. Pełen podziwu redaktor w następnym miesiącu zamówił u niej pokaźne tłumaczenie literackie. Płaca nie była wysoka, ale w połączeniu z alimentami od Takatsukiego wystarczała na dostatnie życie dla niej i córki.

Takatsuki, Sayoko i Jumpej nadal spotykali się raz w tygodniu i jedli kolację z Sarą. Zdarzało się, że Takatsukiemu coś wypadło i nie mógł przyjść. Wtedy Jumpej jadł kolację z Sayoko i Sarą. Bez Takatsukiego przy stole robiło się ciszej i zadziwiająco zwyczajnie. Ktoś obcy na pewno pomyślałby, że są prawdziwą rodziną. Jumpej metodycznie pisał opowiadania, w wieku trzydziestu pięciu lat wydał czwarty zbiór zatytułowany *Milczący księżyc*. Książka otrzymała nagrodę literacką dla pisarzy średniego pokolenia. Na podstawie tytułowego opowiadania miał powstać film. W przerwach między opowiadaniem wydał kilka zbiorów esejów o muzyce, napisał książkę o zasadach tworzenia ogrodów i przetłumaczył tom opowiadań Johna Updike'a. Wszystko zostało dobrze przyjęte. Posiadał swój własny styl i potrafił zmienić głębokie brzmienie muzyki i delikatne odcienie światła w ogrodach w spoisty, przekonujący tekst. Zdobył grono wiernych czytelników, dzięki czemu jego dochody się ustabilizowały. Powoli, lecz niewątpliwie, umacniał swą pozycję pisarza.

Nadal poważnie myślał nad oświadczeniem się Sayoko. Zdarzało się, że nie spał z tego powodu przez całą noc. Przez pewien czas nieomal nie mógł się zabrać do pracy. A jednak nie umiał podjąć decyzji. Właściwie forma ich związku została od samego początku w całości ukształtowana przez kogoś innego. Jumpejowi przypadła rola biernego obserwatora. Poznali się przez Takatsukiego. Wybrał ich dwoje z grupy studentów i stworzył trzyosobową paczkę. Potem wziął sobie Sayoko, ożenił się, zrobił jej dziecko i rozwiódł się. A teraz zachęcał Jumpeja do ożenienia się z nią. Oczywiście Jumpej kochał Sayoko. Co do tego nie miał wątpliwości. Teraz miał idealną okazję do związania się z nią. Pewnie nie odrzuciłaby jego oświadczyn. Z tego też zdawał sobie sprawę. Lecz okazja wydawała mu się zbyt idealna. Zastanawiał się, gdzie jest miejsce na jego decyzję? Wahał się. Nie dochodził do żadnego wniosku. I wtedy nadeszło trzęsienie ziemi.

W tym czasie Jumpej był w Hiszpanii. Zbierał materiały o Barcelonie do artykułu dla magazynu linii lotniczych. Kiedy późnym popołudniem wrócił do pokoju i włączył wiadomości telewizyjne, zobaczył zrujnowane ulice i słupy czarnego dymu. Zupełnie jak po bombardowaniu. Prezenter mówił po hiszpańsku, więc na początku Jumpej się nie zorientował, o którym mieście mowa, lecz przypominało Kobe. Zauważył kilka znajomych miejsc. W okolicy Ashiya został zniszczony wiadukt autostrady.

– Czy pan nie jest z Kobe? – zapytał towarzyszący mu fotograf.

– Owszem.

Nie zadzwonił jednak do rodziców. Antagonizm między nim a rodzicami był tak głęboki i długotrwały, że nie widział możliwości poprawy stosunków. Wsiadł do samolotu, by wrócić do Tokio i do normalnego życia. Nie włączał telewizji, prawie nie otwierał gazety. Kiedy ktoś zaczynał mówić o trzęsieniu ziemi, milkł. Były to echa dawno i głęboko pogrzebanej przeszłości. Nie był w Kobe ani razu od skończenia studiów. A mimo to obrazy zniszczenia pojawiające się na ekranie powodowały, że rany ukryte na dnie serca Jumpeja się odnawiały. Ta ogromna śmiertcionośna katastrofa cicho, lecz zasadniczo, zmieniła pewne aspekty jego życia. Nigdy przedtem nie czuł się tak rozpaczliwie odizolowany. Nie mam korzeni, pomyślał. Nie jestem z niczym związany.

Rano, w dniu, kiedy mieli iść do zoo obejrzeć misie, zadzwonił Takatsuki. Powiedział, że musi zaraz lecieć na Okinawę. Udało mu się załatwić wywiad z gubernatorem. „W końcu znalazł dla mnie godzinę. Przepraszam, ale musicie iść do zoo beze mnie. Moja nieobecność pewnie nie zrobi panom niedźwiedziom większej różnicy”.

Jumpej poszedł więc do ogrodu zoologicznego w parku Ueno z Sayoko i Sarą. Wziął Sarę na rękę i pokazał jej niedźwiedzie.

– Czy to jest Masakichi? – zapytała Sara, wskazując największego czarnobrunatnego.

– Nie, to nie Masakichi. Masakichi jest mniejszy i inteligentniej wygląda. To jest Tonkichi, ten rozrabiaka.

– Tonkichi! – zawołała Sara kilka razy, ale niedźwiedź nie zwrócił na nią uwagi. Sara odwróciła się do Jumpeja. – Jumpej, opowiedz mi o Tonkichim.

– Co tu zrobić? Prawdę mówiąc, nie znam zbyt ciekawych historii o Tonkichim. To zwyczajny miś, w odróżnieniu od Masakichiego nie umie mówić ani liczyć pieniędzy.

– Ale musi mieć przynajmniej jedną zaletę?

– Rzeczywiście. Masz rację. Nawet zupełnie zwyczajny miś ma przynajmniej jedną zaletę. Tak, tak, przypominałem sobie. Tonchiki...

– Tonkichi, nie Tonchiki – Sara bystro wytknęła mu pomyłkę.

– Przepraszam. Tonkichi był dobry w łapaniu łososi. Chował się w cieniu skały, nagle wyskakiwał zza niej i chwycił łososia. Trzeba być do tego bardzo szybkim. Nie był zbyt mądry, ale chwycił łososie najlepiej ze wszystkich misiów mieszkających w tych górach. Łowił więcej, niż mógł zjeść, lecz ponieważ nie potrafił mówić ludzkim językiem, nie mógł ich sprzedawać w miasteczku.

– Przecież to proste – powiedziała Sara. – Mógł się z Masakichim wymienić na miód. Masakichi miał tyle miodu, że nie mógł go sam zjeść, prawda?

– Tak. Zgadza się. Przyszło mu do głowy to samo co tobie. Zaczęli się wymieniać łososiami i miodem i dzięki temu lepiej się poznali. Tonkichi zrozumiał, że Masakichi wcale nie jest pyszałkiem. Tonkichi też nie był zwykłym rozrabiaką. I tak się zaprzyjaźnili. Spotykali się, rozmawiali o różnych rzeczach, dzielili się wiedzą, opowiadali sobie dowcipy. Tonkichi starał się złowić jak najwięcej łososi, a Masakichi zebrać jak najwięcej miodu. Niestety, pewnego dnia – można powiedzieć, że było to nieoczekiwane jak grom z jasnego nieba – z rzeki zniknęły łososie.

– Grom z czego?

– Z jasnego nieba. To znaczy: nagle – wyjaśniła Sayoko.

– Nagle zniknęły łososie – powiedziała Sara ze smutną minką. – Dlaczego?

– Łososie z całego świata zebrały się i zdecydowały, że nie będą już pływać w owej rzece, bo mieszka tam miś Tonkichi, który świetnie je łowi. Od tego czasu Tonkichi nie mógł złapać ani jednego łososia. Udawało mu się najwyżej schwytać jakąś chudą żabę. Lecz nie ma na świecie nic równie niesmacznego jak chuda żaba.

– Biedny Tonkichi – powiedziała Sara.

– I wtedy Tonkichi trafił do zoo? – zapytała Sayoko.

– Przedtem dużo się jeszcze wydarzyło – odparł Jumpej i odchrząknął. – Ale zasadniczo skończyło się właśnie tak.

– A Masakichi nie pomógł Tonkichiemu w biedzie? – zapytała Sara.

– Próbował mu pomóc. Oczywiście. Przecież byli przyjaciółmi. Po to się ma przyjaciół. Masakichi za darmo dzielił się z nim miodem. Lecz Tonkichi powiedział: „Nie mogę się na to zgodzić. W ten sposób wykorzystuję twoje dobre serce”. Na to Masakichi: „Nie rób takich ceregieli. Gdybyś był na moim miejscu, na pewno postępowałbyś tak samo, prawda?”.

– Pewnie, że tak – Sara zdecydowanie skinęła głową.

– Ale taki układ długo nie potrwał – wtrąciła się Sayoko.

– Taki układ długo nie potrwał – ciągnął Jumpej.

– Tonkichi powiedział: „Jesteśmy przyjaciółmi. W prawdziwej przyjaźni nie powinno być tak, że jeden ciągle daje, a drugi ciągle bierze. Zejdę w doliny i spróbuję sobie poradzić gdzieś indziej. Jeśli znów się kiedyś spotkamy, zostaniemy przyjaciółmi”. Uścisnęli sobie łapy na pożegnanie. Jednak na dole nieznaną światu Tonkichi wpadł w pułapkę myśliwego. Stracił wolność i został wysłany do zoo.

– Biedny Tonkichi.

– Dlaczego musi być takie zakończenie? Nie mogli wszyscy żyć długo i szczęśliwie? – zapytała później Sayoko.

– Na razie żadne inne nie przyszło mi do głowy – odparł Jumpej.

Tego niedzielnego wieczoru jak zawsze zjedli we trójkę kolację w mieszkaniu Sayoko w Kōenji. Sayoko ugotowała makaron i rozmroziła sos pomidorowy, nucąc *Pstrąga*, a Jumpej zrobił sałatkę z fasoli z cebulą. Otworzyli czerwone wino i wypili po kieliszku, Sara napiła się soku

pomarańczowego. Posprząтали po kolacji, a później Jumpej przeczytał Sarze książeczkę. Kiedy skończył, była już pora spać, lecz Sara nie chciała iść do łóżka.

– Mamusiu, zrób sztuczkę ze zdejmowaniem stanika – poprosiła.

Sayoko poczerwieniała.

– Co ty mówisz?! Nie można czegoś takiego robić przy gościach.

– Jak to przy gościach? Przecież Jumpej to nie gość.

– O co jej chodzi? – zapytał Jumpej.

– To taka głupia zabawa – odparła Sayoko.

– Mamusia zdejmuje stanik bez rozbierania się, kładzie go na stole i znowu zakłada. Jedną rękę zawsze musi trzymać na stole. I mierzy się czas. Świetnie to robi.

– Co ci przyszło do głowy? – Zdziwiła się Sayoko. – To nasza głupia rodzinna zabawa. Nie możesz o tym mówić przy ludziach.

– Ale brzmi interesująco – powiedział Jumpej.

– Proszę cię, mamusiu. Zrób to raz, żeby Jumpej zobaczył. Tylko jeden razik. A potem od razu pójdę do łóżka i usnę.

– No i co ja mam z nią zrobić? – westchnęła Sayoko. Zdjęła zegarek ze stoperem i podała Sarze.

– Ale naprawdę grzecznie pójdziesz spać? No, to liczę do trzech i zaczynam. Mierz czas.

Sayoko miała na sobie duży czarny sweter pod szyję. Położyła ręce na stole.

– Raz, dwa, trzy – powiedziała i jej prawa ręka zniknęła w rękawie swetra jak żółw w skorupie. Potem poruszyła się pod swetrem na plecach, jakby je lekko podrapała. Następnie się wynurzyła, a w rękawie znikła lewa. Sayoko poruszyła nieznacznie głową i wyciągnęła rękę ze swetra. Trzymała w niej biały stanik. Zrobiła to wszystko błyskawicznie. Potem cienki nieusztyniony staniczek został błyskawicznie wciągnięty z powrotem do rękawa, lewa ręka wróciła na stół, a prawa zniknęła pod swetrem. Podrapała lekko plecy i znów się pojawiła. Na tym był koniec. Na stole leżały obie dłonie.

– Dwadzieścia pięć sekund – oznajmiła Sara. – Mamusiu, to wspaniały nowy rekord! Do tej pory najkrócej było trzydzieści sześć sekund.

Jumpej zaklaskał.

– Wspaniale! Zupełnie jak sztuczka magiczna.

Sara też biła brawo. Sayoko wstała.

– No, na tym koniec programu. Idziesz do łóżka i usypiasz, tak jak obiecałaś.

Przed odejściem Sara pocałowała Jumpeja w policzek.

Sayoko upewniła się, że Sara usnęła, i wróciła na kanapę w salonie.

– Prawdę mówiąc, trochę szachrowałam – przyznała się Jumpejowi.

– Szachrowałaś?

– Nie włożyłam stanika. Udałam, że wkładam i upuściłam spod swetra na podłogę.

Jumpej wybuchnął śmiechem.

– Straszna matka.

– Przecież chciałam pobić nowy rekord – Sayoko roześmiała się, mrużąc oczy. Od dawna nie widział u niej tak naturalnego uśmiechu. Poczuł, jak leciutko drży w nim oś czasu niby firanka poruszana wiatrem. Położył rękę na ramieniu Sayoko, a ona ją uściśnęła. Objęli się na kanapie. Jumpej trzymał Sayoko w ramionach, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, ich wargi się zetknęły. Zdawało się, że nic się nie zmieniło od czasu, kiedy mieli po dziewiętnaście lat. Jej usta miały tę samą słodką woń.

– Od początku powinniśmy byli być razem – powiedziała cicho Sayoko, gdy przenieśli się na łóżko. – Tylko ty jeden tego nie rozumiałeś. Nic nie rozumiałeś. Aż łososie zniknęły z rzeki.

Rozebrali się i objęli. Dotykali swoich ciał niezręcznie jak chłopak i dziewczyna po raz pierwszy uprawiający seks. Nie spieszyli się. Gdy byli pewni, że oboje są gotowi, Jumpej wszedł w Sayoko. Przyjęła go chętnie, jakby zapraszała. Jednak Jumpejowi wszystko zdawało się nierzeczywiste, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Miał wrażenie, że w półmroku idzie po bezludnym niekończącym się moście. Poruszał biodrami, a Sayoko wychodziła mu naprzeciw. Kilka razy prawie miał wytrysk, lecz się powstrzymywał. Bał się, że jeśli skończy, obudzi się z tego snu i wszystko zniknie.

Wtedy gdzieś za nimi rozległo się ciche skrzypnięcie. Otworzyły się drzwi do sypialni. Światło korytarza przybrało ich kształt i padło na odrzuconą w nieładzie kołdrę. Jumpej oparł się na łokciach i obejrzał za siebie. W drzwiach stała Sara. Sayoko głośno wciągnęła powietrze. Odsunęła się od Jumpeja, podciągnęła kołdrę na piersi i poprawiła grzywkę.

Sara ani nie płakała, ani nie krzyczała. Po prostu stała, patrząc na nich z rączką zaciśniętą na klamce, ale w rzeczywistości nic nie widziała. Jej oczy wpatrywały się gdzieś w przestrzeń.

– Sara! – zawołała Sayoko.

– Ten pan kazał mi tu przyjść – powiedziała Sara. Jej głos brzmiał monotannie, jak u człowieka wyrwanego ze snu.

– Pan? – powtórzyła Sayoko.

– Pan Trzęsieniowy. Przyszedł pan Trzęsieniowy, obudził mnie i kazał powiedzieć mamie, że otworzył przykrywkę pudełka i czeka na wszystkich. Powiedział, że mama zrozumie.

Tej nocy Sara spała z Sayoko. Jumpej wziął koc i położył się na kanapie w salonie, lecz nie mógł zasnąć. Naprzeciwko kanapy stał telewizor. Jumpej długo przyglądał się martwemu ekranowi. Są po tamtej stronie. Wiedział, że tam są. Otworzyli pokrywkę pudełka i czekają. Po plecach przebiegł mu dreszcz, czuł go przez dłuższą chwilę.

Zrezygnował ze spania, poszedł do kuchni i zaparzył kawę. Pił ją, siedząc przy stole, gdy wyczuł pod nogami jakąś nierówność. Był to stanik Sayoko. Leżał tam jeszcze od czasu sztuczki. Jumpej podniósł go i powiesił na krześle. Był to prosty, biały, nieświadomy niczego stanik. Niezbyt duży. Wisząc tak na krześle przed świtem, wyglądał jak anonimowy świadek, który zbłądził tu z dalekiej przeszłości.

Jumpej przypominał sobie początek studiów. Usłyszał głos Takatsukiego, gdy ten do niego podszedł. „Chodźmy coś razem zjeść” – powiedział serdecznie. Na jego twarzy widniał znajomy sympatyczny uśmiech, jakby mówił: „Świat będzie coraz lepszy”. Co i gdzie myśmy wtedy zjedli? – Jumpej nie mógł sobie przypomnieć. Na pewno nie było to nic specjalnego.

– Dlaczego zaproponowałeś, żebyśmy poszli razem coś zjeść? – zapytał wtedy Jumpej. Takatsuki uśmiechnął się i z wielką pewnością siebie popukał się palcem w skroń. – Bo ja mam dryg do tego, żeby zawsze i wszędzie znajdować właściwych przyjaciół.

Nie mylił się, pomyślał Jumpej, stawiając przed sobą kubek z kawą. Niewątpliwie miał dryg do znajdowania właściwych przyjaciół. Ale to nie wystarczyło. Kochanie kogoś na całe długie życie to nie to samo, co znalezienie dobrego przyjaciela. Zamknął oczy i zastanawiał się nad długim czasem, który przeżył. Nie chciał myśleć, że jedynie bezsensownie go zmarnował.

Kiedy przyjdzie świt i Sayoko się obudzi, od razu poproszę ją o rękę, postanowił. Nie będę się już wahał, nie mogę zmarnować ani chwili więcej. Bezgłośnie otworzył drzwi sypialni i spojrzał na śpiące Sayoko i Sarę. Leżały owinięte kołdrą, Sara odwrócona plecami do matki. Ręka Sayoko

spoczywała lekko na jej ramieniu. Jumpej dotknął włosów Sayoko na poduszce i małego, różowego policzka Sary. Obie ani drgnęły. Usiadł na dywanie przy łóżku, oparł się o ścianę i czuwał nad ich snem.

Patrząc na wskazówki ściennego zegara, zastanawiał się nad dalszym ciągiem bajki opowiadanej Sarze. Historii Masakichiego i Tonkichiego. Po pierwsze musi znaleźć jakieś rozwiązanie. To bez sensu, żeby Tonkichi wylądował w zoo. Musi być jakiś ratunek. Jeszcze raz od początku przemyślał całą historię. Wkrótce wpadł na pewien pomysł, który – choć początkowo niejasny – powoli przybrał konkretny kształt.

„Tonkichiemu przyszło do głowy, że mógłby zrobić ciastka z miodem zebrany przez Masakichiego. Po paru próbach nabrał przekonania, że ma talent to pieczenia kruchych pysznych ciastek z miodem. Masakichi nosił je na targ do miasteczka i sprzedawał. Przypadły ludziom do gustu i rozchodziły się jak gorące bułeczki. I w ten sposób Masakichi i Tonkichi nie musieli się rozstawać i mogli żyć w górach w przyjaźni i szczęściu”.

Sara na pewno ucieszy się z tego nowego zakończenia. Sayoko pewnie też.

Pomyślał, że będzie pisał inaczej niż do tej pory. Będzie pisał historie, w których ktoś nie może się doczekać świtu, bo wtedy będzie mógł mocno uścisnąć ukochaną osobę. Ale na razie musi tu siedzieć i strzec tych dwóch kobiet. Nikomu nie pozwoli ich włożyć do żadnego głupiego pudełka. Choćby niebo się zawaliło, choćby z hukiem rozstała się ziemia.

---

[1] *Love hotel* - hotel wynajmujący pokoje na godziny zakochanym parom.

[2] Kansai - region Japonii położony w południowo-zachodniej części wyspy Honsiu, którego głównymi miastami są Kioto, Osaka i Kobe.

[3] W Japonii zdejmuje się w przedpokoju buty przed wejściem do mieszkania.

[4] Prestiżowa nagroda literacka.

# Spis treści

<a href="#">UFO ląduje w Kushiro.</a>	6
<a href="#">Krajobraz z żelazkiem.</a>	20
<a href="#">Wszystkie boże dzieci tańczą.</a>	33
<a href="#">Tajlandia.</a>	46
<a href="#">Pan Żaba ratuje Tokio.</a>	59
<a href="#">Ciastka z miodem.</a>	74

- [1]
- [2]
- [3]
- [4]